

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET

WOJCIECH KOSSAK

JÓZEF WEYSENHOFF:

## ROZMOWY LITERACKIE

ODPOCZYNEK.

II.

Wydanie poezji w nowym układzie grupuje utwory Konopnickiej w pokrewne tomy i cykle. Z tych „Helenica” stoją, co do sposobów tworzenia, na innym zupełnie miejscu, niż „Italia”. Podczas gdy wiersze włoskie płyną przeważnie z bezpośredniego przejęcia się poety życiem Italii, sztuką jej i błękitem, forma helenizująca jest tutaj tylko strojem, przyodzianym dla artystycznego wyrażenia idei, podobnych do tych, które znajdujemy w cyklach chłopskich—jeżeli je tak nazwać się godzi, lub w tomie „Z mojej księgi”, gdzie więcej jest rozmyślań, niż obrazów. Nie może Konopnicka wielbić Hellady, ani Romy bez zastrzeżeń, gdyż spotyka w tych światach to, czego nienawidzi: niewolnictwo, brak miłości dla upośledzonego bliźniego. Przez całe życie, zawarte w twórczości płomiennej, walczy Ona z niewolnictwem społecznym we wszystkich jego formach.

Źle mówię: nienawidzi, walczy... Ona raczej pieśnią swą zapala do ukochania potęg przeciwnych: wszechmiłości, sprawiedliwości. W każdym jej wierszu, choćby gorzkim, jak „Świecą gwiazdy”, „Wolny najmita”, „Sclavus Saltans”, w niepoddańczych rozmowach z Bogiem naszym, lub z mojąszowym Jehową—pali się raczej płomień miłowania bliźniego, niż huczy bunt przeciw złym siłom, lub zgrzyta śmiech ironii. Jej ducha—choć to ten sam—trudno nazwać ulubionem mianem „wiecznego rewolucjonisty”; bardziej kobiecy jest w swej istocie, a może tylko idealniej męski, Chrystusowy, duch czynnego miłowania.

Ze Konopnicka jest gorącą Polką, mądrą obywatelką—to wiemy zbyt dobrze. Bez tego drogiego podkładu pieśń jej nie byłaby naszą, nie mówilibyśmy o niej, jak o skarbie narodowym. Ale nie w tym wyłącznie zawiera się jej wartość wewnętrzna, ani jej wartość dla nas. Najlepsze zamiary, nie wykonane, pozostają zasługą tylko prywatną, drobną z punktu widzenia społecznego. W dziełach dopiero odczuwamy i oceniamy mistrzów zarówno czynu, jak słowa. Miłość ojczyzny, liberalizm, demokratyzm—są naszym poetom przyrodzone prawie bez wyjątku. Gdyby się zabawić bezowocnie porównaniem temperatury tych uczuć w dziełach Wyspiańskiego i Konopnickiej, możnaby dojść do wniosku, że obaj poeci czują tak samo, pragną mniej więcej tego samego. Ale jakaż ogromna różnica w wyniku ich usiłowań, we wcieleniu tych uczuć i pragnień, w pojęciach o sztuce, jednym słowem—w dziełach.

Nie mówię o różności form, przez obu wybranych, lecz o sile twórczej. Przy tem zestawieniu tytaniczność Wyspiańskiego wyda się dziecinną, a kobiecość Konopnickiej arcy-męską. O ileż Konopnicka porządniej myśli,

lotniej i samoistniej obrazuje, harmonijniej i silniej mówi! A przecie nie wzięła sobie za przedmiot jakiegoś starego wzorku, który cyzelańską dłonią ozdabia i drobnym płomyczkiem ogrzewa. Grzmi pieśnią, zebraną ze wszystkich naszych jęków i uśmiechów, przetworzonych na wielkie dzieło sztuki.

Nasi patryoci warszawscy, krakowscy, zakopiańscy, tu i ówdzie zapisani do stronnictw, zdają się zapominać o wielkiej, ogólnonarodowej sprawie—o sztuce polskiej. Poeta winien być artystą, nie tylko człowiekiem dobrej woli. Poeta buduje także przyszłość i chwałę swego narodu, ale z innych materiałów, niż czyni to polityk, lub technik. Poeta musi mieć cnoty obywatela, ale oprócz nich—swoje pewne, niezależne, potężne skrzydła. Dlatego mówię tu przeważnie o skrzydłach Maryi Konopnickiej. Jej zasługa obywatelska w tem się właśnie zawiera, że wzmogła ona piękno i siłę polskiego słowa, że pomnożyła rozkosz i bogactwo ogólne w dziedzinie pieśni. A że wybrała sobie na koronę swego pięknego żywota pieśń o chłopie, o panu Balcerze—to jej taka, godna zaiste uszanowania wola, ale nie w tem istota zasługi. Mickiewicz nie zajmował się prawie nigdy psychologią ludu wiejskiego, jeno klas wyższych. Nawet Słowacki, ów chrzciciel „ludowców”, nie tylko przebywa wyobraźnią między szlachtą, a nawet nadludźmi, lecz przemawia językiem zgoła dla ludu niezrozumiałym. To, że Konopnicka ukochała przede wszystkim gmin, powinno być właśnie zyskiwać jej gorące sympatyje najmłodszych polityków i pisarzy; to jej młodość przygodna. Młodość jej wieczna zawiera się w doskonałości jej pieśni.

„Pana Balcera” czytałem dotychczas urywkami, bez należytej rozwagi. Wyglądam ukazania się całości dzieła, w którym Konopnicka staje na innym zupełnie stanowisku twórczym, epickim, podczas gdy zresztą, nawet w swych cudownie śpiewanych artykułach literackich (Krzyżacy, Cyrano) jest lirykiem w najwyższym tego słowa znaczeniu. Subiektywizm jej szczery i płomienny, wyrażony przez formę zadziwiająco piękną, ewolucyjnie nową, zapala nas bezpośrednio jej zapałem, wrażeniem, myślą. Słuchając, widzimy zawsze Ją przed sobą, nie zaś wysłane przez nią do nas postacie. I widzimy Ją piękną, kochaną, dobrą wieszczką, przyjaznym i naczelnym Duchem. Opowiada nam ciągle duszę swoją, a my czujemy silniej duszę własną w rozdzwonionej piersi.

Jej religia, czysto Chrystusowa, nie polityczna, lecz miłująca bliźniego, bardziej polska, niż rzymska, jest religią naszych duchów przewodnich.

Jej patryotyzm nie jest zaślepiony, mesyanizujący; pomny wszelako ciągle swej istoty—miłowania; nie gnębi ona swego narodu wyrzutami i obelgami, jak to zbyt często czynią różni autorowie pod pozorem, że się wdrapali na wyższe piętra myśli.

Jej pojęcie życia i sztuki ma w sobie dużo pogody. Kocha ona silne tętna, zdrową krew świata. Celuje w śpiewaniu młodości, miłości, siły. Wiersze jej miłosne są jędrne, szczere, czyste, mówione zawsze, jak się należy, od kobiety. Nie myślę tu o popularnym, napół dydaktycznym wierszu:

„Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona”...

lecz np. o wierszu „Co się stało?” lub o cyklu „Z słowiczycich pieśni”.

Jednak Konopnicka w swych najliryczniejszych wynurzeniach osobistych nie przebywa bynajmniej wyłącznie w dziedzinach rozkoszy, nie grzeszy anakreontyzmem. Czuje i odtwarza wybornie i smutek społeczny. Dość przypomnieć wiersze „Wieczór już, Panie!” albo „Trzy modlitwy”. Ale smutek to zawsze szlachetny. Nic nie ma wspólnego z nerwową ponurością rzeczywistego lub myślowego alkoholika, z miotaniem się duszy ambitnej, lecz niemocnej. Smutek ten płynie z podniosłych pragnień, równie gorących dla bliźniego, jak dla siebie samego, z niedosytu pragnień na ziemi, zwłaszcza naszej. Poeta widzi poza mgłą dzisiejszą lepsze jutro, w które wierzy. Tymczasem zaś, tworząc, odzyskuje pogodę i zdrowie duszy.

Muszę się znowu uciec do przykładu, wyjątego z dzieł Konopnickiej, tym razem z najświeższych. Poemacik „W Kartuzi” ukazał się w tegorocznym styczniowym zeszycie *Sfinksa*. Temat zasadniczo smutny. Ci ludzie, którzy już śmiercią owiani, zapomnieli mówić, którzy daremnie szukają słowa, gdy wdziera się do „uchron ich” królewskie życie—to obraz i szereg myśli niewesoły. Co jednak sprawia, że my, czytelnicy, wprowadzeni w ten dom śmierci, czujemy raczej rozkosz... sztuki, a więc życia? Tylko niezrównany kunszt mistrzyni i udzielające się nam ciepło jej duszy. Mniejszy pisarz zrobiłby z tego wrażenia jakąś misterną chorobę—naprzykład Maeterlinck. Inny, bardziej rezoner, niż artysta, popadłby w tendencyjną, przeciwklasztorną deklamację... Nic z tego w wierszu Konopnickiej.

W Burgos, w Kartuzi milczenie trwa  
Nie rok, nie dwa.

W Burgos, w Kartuzi, kto ślubił ślub,  
Milczy—jak głaz, milczy—jak grób,  
Po trumny własnej wieko...

Kruźgankiem idzie za mnichem mnich,  
A każdy cich,  
Złożone ręce, spuszczone wzrok,  
Za mnichem mnich, za krokiem krok,  
Gdzieś—w wieczność, gdzieś—daleko...

Przejmuje nas niedwuznacznie ogromny smutek, charakter główny poematu. Ale zarazem budują się nam w oczach kruźganki, okalające południowe podwórce klasztorne, i dzwoni strofa nieznaną, niby muzyka jakaś gorąca, zapewne hiszpańska...? Jesteśmy przecie w Burgos!

A gdy wjeżdża król z myśliwską świtą,  
to się dom ciszy rozdzwania na dobre, a ciągle się przytem maluje:

Drży starych tynów poźółkła biel,  
Drżą ściany cel...





PIEŚŃ

TOMASZ LISIEWICZ

I jest odrazu dramat w dźwięku, w scenie, zanim zrozumiemy, jaki dramat psychiczny wyniknie ze spotkania tego orszaku życia z procesją śmierci. Czujemy, że poeta stoi po stronie życia, a jednak nie dla królewskich gości, lecz dla jednego z zaklętych cieniów Kartuzi znajduje te słowa zdumiewająco malownicze:

A stał na przedzie, jak gruszy kwiat,  
Przeor stu lat.  
Biała mu głowa niemocnie drży,  
Ostatkiem dnia żrenica mży,  
Chce mówić, szuka słowa...

Oczywiście. Gdyby nam poeta zanadto barwnie przedstawił wspaniałość króla i jego orszaku, odciągnąłby nas precz od Kartuzi—i od przedmiotu głównego. Więc nie. Wszystkie iberyjskie wonie słowa rozlane są na klasztor, na smutek, na śmierć. I dzieje się rzecz niespodziewana, wielce skuteczna dla artystycznego sensu: król odprawia swą świętę, pozostaje sam między krążgankami, gdzie znowu tętnić zaczynają ciche stąpania w rytm niemowy i zadumy śmiertelnej. Czy król pozostanie tu długo? czy może nawet zamieni berło na habit?... Ale tymczasem dziwnie przejął króla nastrój klasztoru—i nas poruszył do głębi, rozkołysał myśl dźwiękami, zaprowadził, gdzie sobie zamierzył—poeta.

O to właśnie chodzi w poezji, wyśławionej od dwudziestu kilku wieków jej istnienia.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI:

## W R A C A J !

PRZYJACIELOWI Z POZDROWIENIEM.

Gdzieś daleko szumi obce morze,  
Jego fale błyszczą w słońcu złotem,  
Jego fale—posłanniczki Boże—  
Dają tobie, strudzony wędrowcze,  
Polecenie ciche, lecz stanowcze,  
Byś do kraju wędrował z powrotem.

Gdzieś daleko góry w blaskach płoną,  
Po ich zboczach liczne dzwonią stada.  
Niżej—z winnic purpurowe grono  
Wabi ciebie, jak kochanki usta,  
Która czeka, wesoła i pusta,  
Pocałunki odwzajemniać rada.

Ale w pieśni, którą dzwonią stada,  
Którą szumi wodospad z łoskotem,  
Którą obcy gaj do ciebie gada,  
Którą czytasz na niebie i ziemi,  
Wypisaną zgłoski palącemi,  
Brzmi wciąż rozkaz: „Do kraju z powrotem!”

Ach, tam w kraju słońce tak nie płonie,  
Fala morska o brzegi nie trąca,  
Mniej słodczy w purpurowem gronie,  
Które nawet nie zawsze dojrzewa,  
I swą zieleń tracą wcześniej drzewa,  
I kochanka nawet—mniej gorąca.

Lecz na ziemi, na niebie i wszędzie,  
Gdzie się krok twój lub oko zatrzyma,  
Kordyał dziwny rozlany tam będzie,  
Który z raju zapewne pochodzi,  
A ten kordyał wszystko wynagrodzi,  
Gdy go pijesz—sercem i oczyma.

A więc wracaj, wracaj do tej ziemi,  
Gdzie ten kordyał oddawna cię czeka.  
On ją barwy odzieje cudnemi,  
On, jak Eden, rozśpiewa ją całą,  
Aż z podziwem spytasz: „Co się stało?”,  
Gdy nanowo ją ujrzysz z daleka.

Jak zaklęty w borze kwiat paproci,  
On ci duszę odmłodzi strudzoną,  
On ci słońce przedziwnie wyłoci,  
On ci szczęściem świat cały rozdzwoni!  
Więc powracaj, więc powracaj do niej—  
Gorycz, ból wypłakać na jej łono...

WL. ST. REYMONT:

2)

## Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

— A któż was pierwszy zawiadomił o tolerancyjnym ukazie?

— Dziedzic z W... Sadziliśmy właśnie ziemniaki daleko za wsią, gdy mój najmłodszy wstrzymał konie i powiada:

— Ojciec, ktoś jedzie do nas przez pola.

Patrę, prawda, wali konno na przełaj jakiś człowiek z gołą głową i już coś z daleka krzyczy i wymachuje jakimś papierem. Dziw się nie zatknął ze zmęczenia, ale cały ukaz mi przeczytał. Tak mnie zamroczyła ta nowina, że się nie mogłem poruszyć z miejsca. Musiał mną potrząsać, ni by snopem, aż mi się całkiem w głowie rozwidniło—i zmiarkowałem. Poleciałem zaraz na wieś, ludzie już schodzili z pól; krzyczę, rozpowiadam, czytam w głos ukaz, a ci nic, ani be, ani me, stoją, oczy wytrzeszczają i, ni by porażeni, coś językami mamlą, a nikt nie rozumie ani słowa. Mieliśmy schowany spory dzwon jeszcze z naszego unickiego kościoła, krzyknąłem na zięcia, wywlekliśmy go z dołu, powiesili na kozłach, i zacząłem bić w niego z całych sił. Przeszło trzydzieści lat nikt go nie słyszał, to i przemówił do wszystkich tym świętym głosem zmartwychwstania. Trudno powiedzieć, co się wtenczas działo. Cała wieś jakby oszalała, zerwały się takie krzyki, takie szloch, takie lamenta, jakby w dzień sądu ostatecznego. Z radości, panie, i z wesela. Rozestaliśmy zaraz konnych po wsiach z tą nowiną. W maju to było, i o zmierzchu wystroili pod cmentarzem ołtarz, nanieśli światła, zieleni a kwiatów, i do białego prześpiewaliśmy pod nim.

Byli tacy, którzy chcieli zaraz odbierać cerkiew, że to była przerobiona z kościoła.

A rano dyak nam wydał schowane w cerkwi nasze dawne chorągwie, i ruszyliśmy wielką procesją, ze śpiewami, do parafialnego kościoła. Wszyscy poszli, nie tylko oporni, ale nawet i prawosławni, nie wiem, czy w całej wsi pozostało z pięć osób do przypilnowania inwentarza.

Zaś pop, jak zobaczył, co się dzieje,



Kościół katolicki w Chełmie.

zastąpił nam drogę koło cerkwi, zatrzymał, prosił i zaklinał, żebyśmy nie porzucali prawosławia, groził nawet, ale nikt go nie usłuchał. Mieliśmy do kościoła przeszło siedem mil; ciągnęliśmy ze śpiewami, z rozpuszczonymi chorągwami, z obrazami, jak kiedyś, jak przed dawnymi laty, a z każdej wsi przyłączali się do nas, że, jakby te rzeki wezbrane, płynął naród wszystkimi drogami, a wszędzie śpiewy nasze, obrazy nasze, krzyże nasze i mowa nasza. Nieraz myślałem, co już nie dojdę i zamrę ze szczęścia. Własnym oczom nie chciało się wierzyć, jak strażnicy zdejmowali czapki przed procesją i rozstępowali się żołnierze. Urzędów jakby nie było, i nikt nam nie przeszkadzał być tem, czem się człowiek urodził: Polakiem i katolikiem. Przez dwa dni i dwie noce kościół był otwarty naróścież; gorzały na ołtarzach światła, biły dzwony, i odprowadzały się nabożeństwa, przez dwa dni i noce naród sycił zgłodniałe dusze, krzyżem leżał, modlił się i sposobił do nowego życia. Cała parafia przepisała się na polską wiarę, nawet dyak przeszedł, a pop zamknął cerkiew i wyjechał. Myśleliśmy, jako się już skończyła nasza kalwarya! Człowiek zaczął się prostować, śmiało patrzeć w oczy i żyć, jak drugie Polaki. Na całym czerwonym Podlasiu, jak u nas przezywają te dawne unickie powiaty, zawrzało, ni by w ulach. Skończyły się lamenta, i każdy, jak tylko poradził, brał się do roboty. Pomogli nam niektórzy panowie, tośmy założyli Macierz, Kółko rolnicze, kasę, zaczęli stawiać kościół, a prawie każda wieś zgodziła sobie nauczyciela, bo już wszyscy, od starych do najmłodszych, chcieli

się nauczać po polsku. Każdy rozumiał, co oświata to kij na przeróżne biedy. Tak, panie, było u nas z początku!—Głos mu naraz przycichnął, i twarz się poryła w posępne bródzy.

— Ale źli ludzie niedługo dali się nam cieszyć! Nie w smak im poszły nasze zabiegi! Wiadomo przecież, że ciemnego łatwiej wziąć na postronek. Byłoby dużo powiadać o tem—zakończył śpiesznie.

Do izby zaczęli wchodzić chłopci ze wsi, podawali mi ręce i zasiadali w milczeniu na ławach i stołkach. Zebrało się kilkunastu, w różnym byli wieku, ale wszyscy jednakowo krępi, rozrośli w barach i ubrani w brązowe samodziały, twarze mieli krótkie, surowe, spalone na słońcu i jakby wykute z zianistego kamienia, nosy proste i cienkie, włosy jasne i bardzo niebieskie oczy. Wpatrywali się we mnie życzliwie, ale zarazem bawawczo.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zaśmiał się wójt, przysłaniając okno kilimkiem.

— I pieski też warto pospuszczać—radził jakiś bardzo ostrożny.

Zaczęli się rozpytywać o wyodrębnienie Chełmszczyzny, więc na odpowiedź



Grupa włościan z Chełmszczyzny.

przeczytałem im cały ten projekt. Wystuchali w skupieniu, dyskutując nad każdym punktem po kolei. Mówili dobrą polszczyzną, z minimalną domieszką rusycyzmów, jak zresztą mówi lud na całym Podlasiu i Chełmszczyźnie.

— Ale z tego projektu wychodzi, że już postanowili pogrzebać nas żywcem!—odezwał się ponuro siwy, brodaty chłop—bo, jak nas oderwą od Polski, to przepadniemy!

— A jednak przetrzymaliście tyle lat—zauważyłem mimowoli.

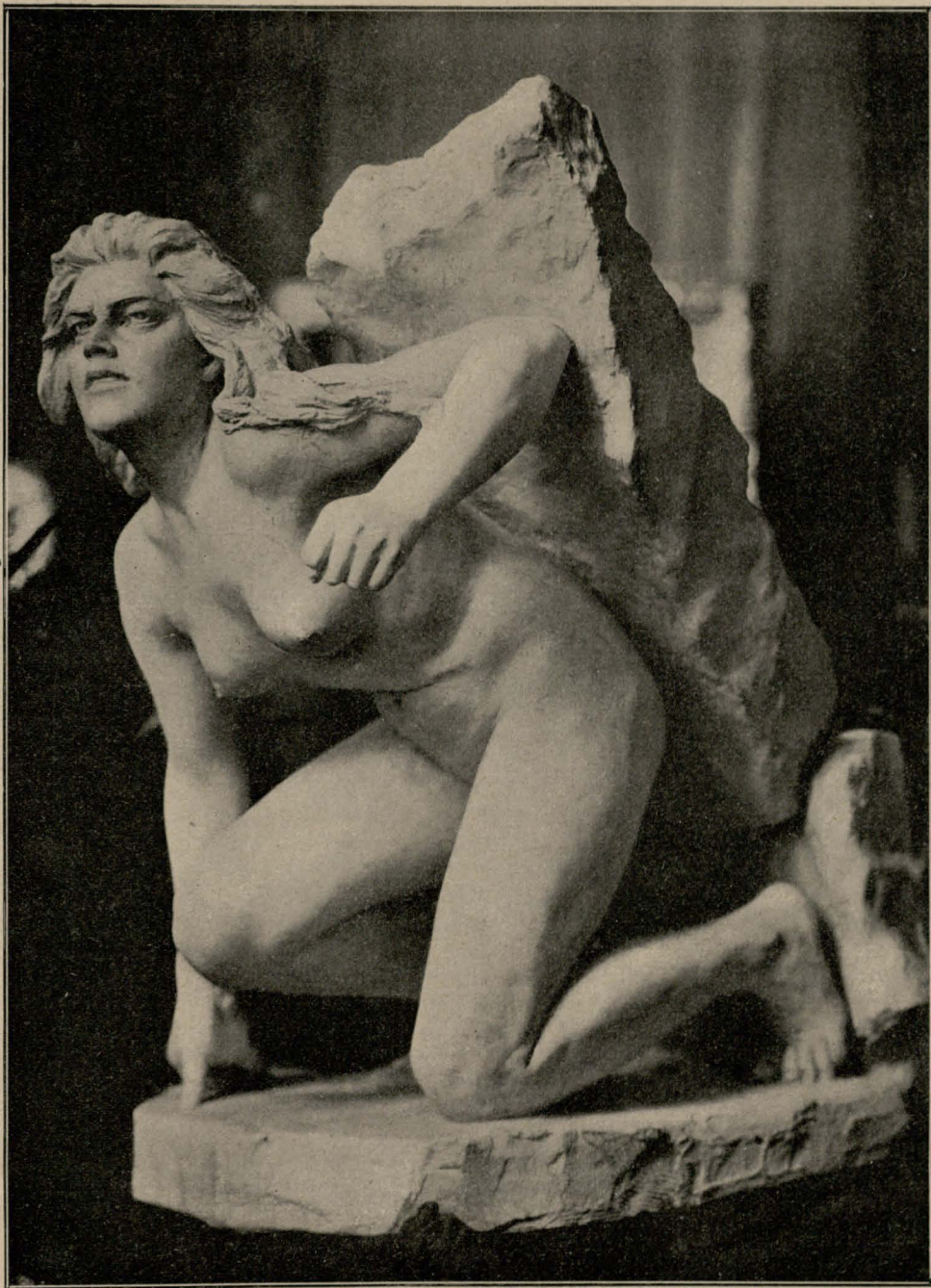
— Prawda, ale tylko jednemu Bogu wiadomo, jak nam było ciężko! Przenieśliśmy wszystko, bo człowiek ciągle się żywił nadzieją na lepsze czasy, ale, jak nas teraz odgradzą i spętają w nowe prawa, to się możemy podusić, ni by kury w kojcu. Twardy jest nasz naród i wytrzymały, ale i koń więcej nie uciągnie, niżli poradzi! Już dzisiaj niejedyn się trzęsie przed nowymi biedami, a co będzie, jak przyjdą?

— Nie strachajcie, Mikołaju! — zabrał



Jarmark w Wereszynie.

## WYZWOLENIE



JÓZEF GABOWICZ

Z Salonu T. Z. S. P.

głos chudy, pokurczony staruszek—nie strachajcie!—powtórzył cicho, słodko a z wielką mocą—Pan Bóg nas ciężko próbował, a przetrzymaliśmy, to i nasze dzieci nie gorsze, też poradzą przeniesić, choćby i gorsze jeszcze biedy, i tak samo doczekać się lepszego! Na świecie to jak w marcu, raz deszcz, raz śnieg, raz słońce, a zdarzy się się i burza z piorunami, ale, kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjść musi! A Pan Jezus przecież powiedział: kto jest poniżony, tego ja wyniesę ponad wszystkie! Trzeba wierzyć i czekać!

— Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo?—zapytał porywczo brodaty.

— Podczas zniesienia unii?

— Tak. Zaraz na początku 1875 roku przysłali nam całe dwie rotysy wojska i rozkwaterowali po domach i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

— Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity—wtrącił wójt ze śmiechem.

— Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórze do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach!—szepnął brodaty.

— Jakże to było?— spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

— Zaś w samym piekle nie mogło być straszniej! — zaczął znowu staruszek. Różnymi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyta, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dni w pole i przykazywali zgarniać śniegi rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sposób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dni i noce słycać było tylko na wsi ryki bydłatek i płacze ludzkie! Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tłukło się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pę-

kały z żalości, ludzie mdleli, dostawali konwulsyi, włóczyli się u nóg i, jak psy, skamłali o zmiłowanie nad bydłatkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: „Podpiszcie się!” Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nikt, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysypywali ciężko, jakaś kobieta, skulona pod piecem, rozszlochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

— A nie żalowali nam niczego! Niczego!—wyrzekł ktoś z westchnieniem.

— I kiedy odeszli — ciągnął dalej staruszek—to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydłatka, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża, ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć! I żeby nie miłosierdzie Boskie, tobyśmy...

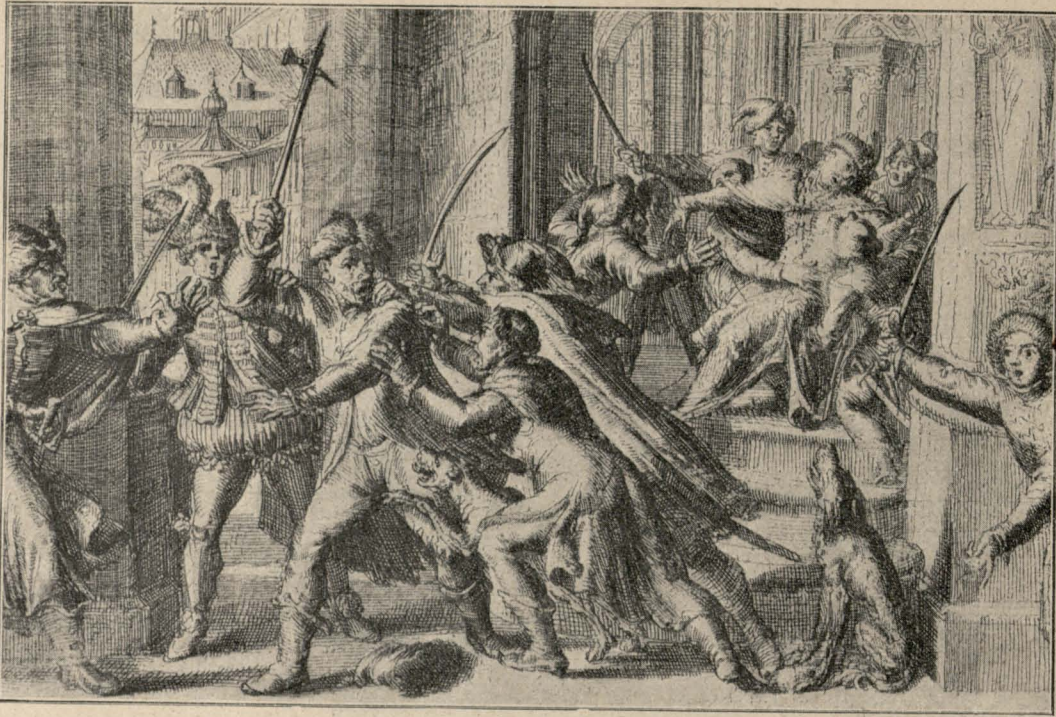
— Co było, to i przeszło, ważniejsze, co nas teraz czeka!—przerwał mu jakiś młody.

— Nie śpiesz się, Józef, przyjdzie, i weźmiesz swoje, jak i my braliśmy, weźmiesz...

Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał, jak szczapa na wietrze.

(DCN)





Zamach Piekarskiego (według ryciny współczesnej).

## VARSOVIANA.

Zamach Michała Piekarskiego  
na Zygmunta III.

WEDŁUG RYCINY WSPÓŁCZESNEJ (1620).

Ważne wypadki doby obecnej w rzadkich chyba wypadkach posiłkują się fantazją artysty, by się utrwały w teraźniejszości i przeszły do pokoleń następnych. Zdjęcia migawkowe, ułatwione niepomniernie, dzięki aparatom kieszonkowym, chwytają wydarzenia potoczne i historycznej doniosłości prawie że na gorącym uczynku. Narówni z piórem reportera, lub stenografa pracuje obiektyw aparatu fotograficznego. Nie tak było w czasach, gdy do posługi dziennikom aktualnym stawała ilustracja. Pracował wówczas wyłącznie ołówek artysty, mniej lub więcej zgodnie z rzeczywistością, a gdy fantazja twórcy wybujała, odnajdywano na rycinie szczegóły urojone, jak np. na miedziorycie, odnalezionym przygodnie w zbiorach jednego z antykwarystów niemieckich, przedstawiającym rozgłosny zamach Piekarskiego na Zygmunta III w przedsionku kościoła Ś-go Jana z r. 1620, gdzie między figurami sceny historycznej umieścił artysta psa, wyrażającego zgrozę przeciw zamachowi...

Widocznie, rzadka rycina, którą tutaj reprodujemy, powstała wkrótce po owym zamachu. Towarzyszący jej komentarz, ułożony w języku niemieckim z XVII. w., opisuje wypadek, jako aktualność najświeższą. Na rycinie widzimy dostojników w uroczystych szatach, a postać Piekarskiego odtwarza wyraziście zaciętość, z jaką morderca zamachu swego dokonał.

O fakcie samym mamy dosyć szczegółowe relacje w źródłach drugorzędnych, powtarzających jedno za drugim przebieg zamachu i jego fatalne dla sprawcy następstwa. Żadne jednak z nich nie przytacza, że urzędowa osnowa wyroku mieści się w księdze XXII *Conventionalium* na str. 301 Archiwum Głównego Warszawskiego. Wyrok sejmowy z piątku przed Ś-tą Katarzyną (listopad 1620) przekazał obranie kary śmierci i rodzaj katuszy przedwstępnych marszałkowi koronnemu, którym w owym czasie był Michał Wolski, starosta krzepicki, fundator klasztoru kamiedułów pod Krakowem i uczestnik czarodziejskich sztuk Michała Sędziwoja.

Wyrok marszałkowski opiewał: „(Sprawca) najprzód z miejsca więzienia, z którego zostanie wyprowadzony, przez kata i jego oprawców ws-

adzony będzie na wózek, do tego sporządzony, mając skrepowane ręce i nogi, przywiązany do wozu tak zostanie, aby postać siedzącego zachował. Zasiądzie przy nim swe miejsce kat z oprawcami, mającymi swe narzędzia, ogień siarczysty i rozżarzone węgle, obwożony będzie przez rynek i ulice miasta. W miejscach wyznaczonych obnażonego czterema rozpalonymi szczypcami oprawcy ciało szarpać będą. Gdy na miejscu kary stanie, z wozu na rusztowanie, umyślnie wystawione, na 8 łokci od ziemi wyniesione, przeprowadzony zostanie. Tam mu kat ów czekan żelazny, którym na Najjaśn. Króla J-mci targnął się, do ręki prawej włoży i z nim razem rękę bezbożną i świętokradzką nad płomieniem ognia siarczanego palić będzie. Dopiero gdy w pół dobrze przepalona będzie, mieczem odetnie, toż i z lewą ręką, bez przypalenia jednak uczyni. Poczem czterema końmi ciało na 4 części rozgartane, a obrzydłe trupa ćwierci na proch na stosie dREW spalone zostaną. Nakoniec proch, w działo nabity, wystrzał po powietrzu rozproszy”.

W takich to mękach zginął na rynku Starego Miasta Piekarski, lecz z nim razem zginęła z dobytku narodowego i miejscowość *Biełkowice* w Sandomierskiem, włość rodzinna Piekarskich, którą wyrok sejmowy nakazał na wieczne czasy zrównać z ziemią i na miejscu dworku zbrodni-

Unter währendem Reichstäg trug sich eine erschreckliche That mit des Königs Person zu / die ihm durch einen unversehnen mörderlichen Anfall schier das Leben gekostet hätte. Ein närrischer Mensch Michael Piekarsky, sonst von Adel und guten Mitteln wurde von seinen Verwandten aus des Königs Verordnung verpflichtet / und unterhalten. Man ließ ihn frey gehen / sich keines Uebels von ihm befürchtend. Wie dieser gedreht / daß er gerichtlich (pro amene) für thöricht erklärt worden / und ihm das Leben in dem ganzen Lande zu Ohren kommen / als ob der König durch seine an Österreich geschickte Hülf die Türken in Harnisch bracht / und die Tartarn aufgewiegelt hätte. Dadurch der große Verlust so vieler vornehmen Leute in vorgegangener Schlacht entstanden / so hat er eine solchen Grim wider den König gefaßt / daß er an einem Sonntag / wie derselbe in die Kirche entritt / hinter der Thür herfür springt / und dem Könige mit einem Tische / ein einen Schlag nach dem Kopf gibt / der aber auf die Schultern gehen / und eine ziemliche Wunde gemacht. Er wiederholte den Streich / geschriebe / wiewol bloß mit Aufregung des Bäckens / daß der König für Schrecken in Ohnmacht zu Boden fällt / es ist jemand getraut wird. Denn die vorangehende sah es nicht / und der nachfolgende Prinz Vladislaus hielte sich im Gehräsch mit andern auf. Als er aber den Schlag hörte / zog er den Säbel wieder den Thäter aus / besann sich doch gleich selbst / und rief: Man solle dem Mörder nichts thun / sondern ihn gefangen nehmen. Es entstand ein grausamer Tumult und Geschrey in der Kirchen / denn man meinte der König wäre todt. Er wurde aber von einem Kalinski gleich aufgehoben / in die Sacristen zu Verbindung der Wunden / und von dar wieder in den Pallaß gebracht. Der Mordschlinder wurde mit dem äußersten Grad der Tortur gefoltert / bekahte aber nichts mehr als obdach / und andere thörichte Dänpel.

Współczesna relacja niemiecka z roku 1620 o zamachu Michała Piekarskiego.

czego właściciela wymurować obelisk pamiątkowy, ku pamięci i przestrodze potomności. Jakoż wieś *Biełkowice* istnieje przestała i nie figuruje już w Słowniku geograficznym. Niewiadomo, co się stało z obeliskiem, gdyż opisy zabytków dawnego województwa sandomierskiego nic o owej pamiątce nie wzmiankują.

AL. K.

## Polska pieśń syberyjska.

Znalazł się człowiek, co mrokom tajg syberyjskich i okropnościom syberyjskich podziemi wydarł ich jęki, zgrzyty, wrzaski, charczenia i, do śpiewu, a pod muzykę to wszystko ułożywszy, jeździ po Europie, stępione sybarytów-estetów nerwy nowym dreszczem wstrząsając.

Do jego zbioru dorzucić mogę jedną jeszcze pieśń, tymczasem bez melodyi, którą może komu innemu uda się odszukać.

Znalazłem tę pieśń w starym kajecie, jakich tak wiele niegdys u nas bywało, mieszczącym w sobie różne wiersze z pierwszej połowy wieku XIX-go. Obok głośnych w swoim czasie „Miośtelek”, popularnego „Tam na błoniu błyszczą kwiecie”, tchnącego duchem napoleońskim „Zapytał rotmistrz towarzysza broni” i t. p., wpisano tam wiersz, zatytułowany: „Arya (!) syberyjska”. Nie ma w sobie ten wiersz zgrzytania zębów i dzikiego wycia brodiąg i katorżników, dźwięczy w nim, mimo wszystko, rzeźka, szczerze polska nuta, ma skoczny rytm melancholijnego, rzechy można: chopinowskiego mazurka, czy też krakowiaka.

W Niedału (?) pod zamkiem \*)

Siedział Kuba z Jankiem,

O! jakże ich serce boli

Życ w takiej niewoli!

Oj dana, moja dana! swobodo kochana!

\* \* \*

—Janku, rozjaśń czoło,

Powiem wieść wesołą:

Pojedziemy do Kamczatki

Hulać na ostatki...

Oj dana, moja dana! swobodo kochana!

\* \* \*

Oj, piękna tam strona,

Śniegiem ubielona;

Domy mają, jak piwnice,

Jak pniaki, dziewice,

Oj dana, moja dana! swobodo kochana!

\* \* \*

Janku, bądź gotowy,

Pojedziem na łowy,

Już dwunasta—świta ranek—

Wprzęgaj psy do sanek!...

Oj dana, moja dana! swobodo kochana!

\* \* \*

Może się powiedzie

Zabić dwa niedźwiedzie.

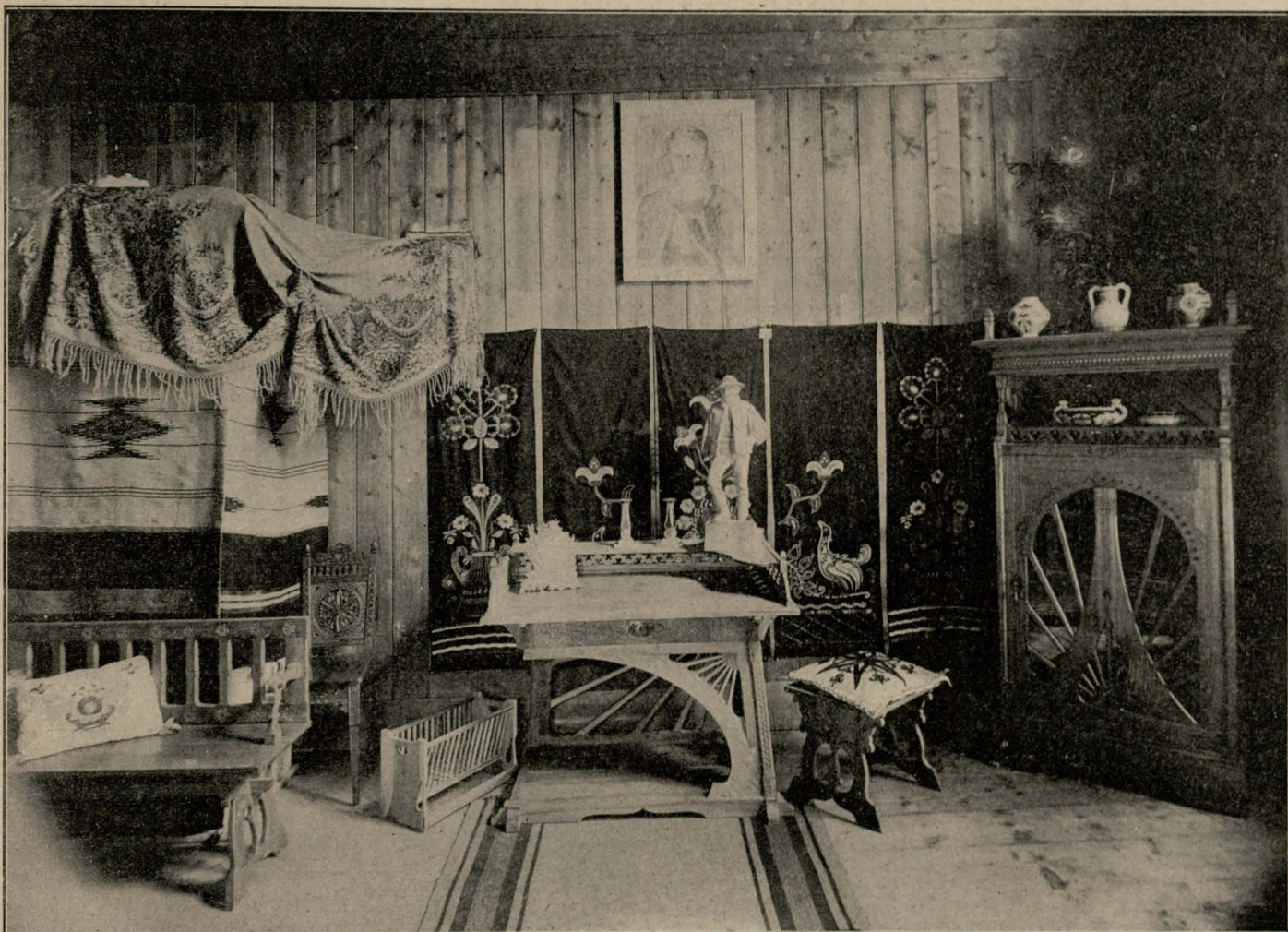
Oj! zwierzęta to nadobne,

Moskalom podobne.

Oj dana, moja dana! swobodo kochana!

G.

\*) Znaczy to w tem miejscu tyle, co: pod kluczem, to jest w więzieniu.



WYSTAWA ZAKOPIAŃSKA: PRACOWNIA.

G. DANIŁOWSKI:

## Z Zakopanego.

Zakopane nie tylko jest śliczne przez swoje góry, ciekawe przez swoistą, nigdzie w Polsce nie spotykaną faunę i florę, ale również piękne i zajmujące przez swój lud. Lud ten „górali skrzydlatych”, odcięty od niwelujących wpływów współczesnej cywilizacji, długo żył własnym, odrębnym życiem, zachowując swą jędrną, staropolską gwarę, patriarchalne zwyczaje i ładny, zastosowany doskonale do klimatu strój. Zmuszony wystarczać sam sobie, wszystkie swe życiowe potrzeby zadawał wyrobami własnoręcznej pracy, które w utalentowanej ręce jego przybierały postać oryginalną i wysoce estetyczną. Gdy gazda stawiał dom, to ambycją jego było wybranie z własnego bezpieczeństwa lasu najszerzych pniów na ściany, pięknego materiału, który sam przez się nadawał budynekowi szczególne piętno; budował starannie, zachowując pewien stały motyw linii, przecinających się pod ostrym kątem; zazręb, drzwi i nieraz górną część ściany zdobił odpowiednim ornamentem, tworząc ze swej chaty całość oryginalną, osobliwą, pełną własnego charakteru, t. j. stylu. I nie tylko chata i sprzęty jej nosiły wyraz upodobań artystycznych, przejawiał się on wszędzie: każdy statek, stół, czy czerpak, ciupaga, czy kijanka, cyfrowane portki, cucha, czy serdak, nawet ser owczy „oszczypek” — wszystko to było rysowane, rzeźbione, wyszywane na wzór pewnych zasadniczych form, jak gwiazdy, parzenice, leluje, służących za punkty wyjścia dla fantazyi wykwiłntnego majstra, którego całym narzędziem snycerskiem bywał nieraz kozik.

Gdy Chałubiński odkrył Zakopane, a w ślad za nim wtargnęły „cepy”, ludzie z dolin, wraz z koleją i całą swą maszynową obrzydliwością, odrębność Podhala zaczęła zacierać się powoli i możeby została skazana na zagładę, gdyby nie zjawił się Stanisław Witkiewicz, który odkrył chatę góralską i wrażliwym okiem artysty poznał, że jest ona prototypem samodzielnego, oryginalnego stylu, że posiada mnóstwo swojskich, pięknych motywów, które nadają się znakomicie do stworzenia stylu w budownictwie i rozwoju rodzimej sztuki stosowanej w najszerzym zakresie codziennych potrzeb życia. Dzięki jego zabiegom, niezmodernizowanej pracy i talentowi styl zakopiański nie tylko nie zamarł, ale rozwinął się i rozkwitł. Samo Zakopane stało się miejscowością, zabudowaną prawie w jednolitym stylu: dzięki jego inicjatywie rozpoczęła się też produkcja

wyrobów zakopiańskich na zbył, przynosząca ludności około 100,000 koron rocznego dochodu.

Były to przeważnie początkowo wyroby z drzewa: meble, sąsieczi, skrzynki, ciupagi, nożyki, ale potem przysłała kolej i na inne. I oto w sezonie bieżącym urządzono małą wystawę, świadczącą o tem, że styl zakopiański nadaje się do wszechstronnego zastosowania. Inicytorowie wystawy: p. Wojciech Brzega, artysta-rzeźbiarz, góral z pochodzenia, który kształcił się w Paryżu, ale wrócił w rodzinne osiedle, by dla dobra ukochanego Podhala pracować, p. Antoni Szczygielski, rzeźbiarz z Królestwa, żona jego, Kazimiera, malarka, i malarz p. Kłosowski, urządzili cztery izby mieszkania p. Brzegi całkowicie po zakopiańsku od *a* do *z*.

Mamy więc salon, stołowy, pracownię i pokój dziewczyny góralskiej.

Meble zakopiańskie, w szczególności pomysłu Brzegi, mają już zasłużony rozgłos, nie będę się więc o nich rozpisywał, zwłaszcza, że załączone fotografie wnętrza pokoi mówią za siebie; nadmienię więc tylko, że są nie tylko śliczne, ale wygodne, mocne i stosunkowo bardzo niedrogie.

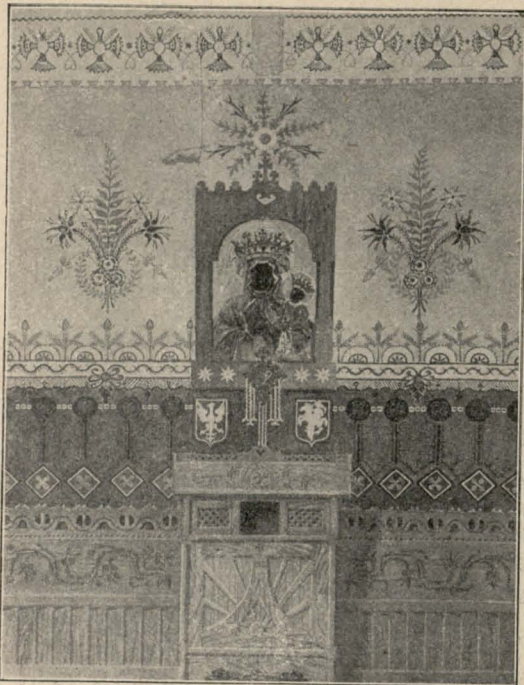
Nowością tej wystawy jest ceramika i hafty p. Szczygielskiej, oraz żelazne wyroby p. Jana Mosza, szwagra pisarza Orkana.

Ceramika p. Szczygielskiego: dzbanki, wazoni, misy, talerze, tak pod względem kształtu, jak ornamentyki, są wzorowane na motywach miejscowych.

Wazonik nr. 1 jest przyozdobiony typową góralską lelują, którą się spotyka bardzo często na przedmiotach z drzewa, i gwiazdą, utworzoną ze stylizowanego kwiatu „dziewięciosił”, znalezionej na starym łyżniku.



Grupa inicjatorów wystawy: Brzega, Kłosowski, pp. Szczygielscy.



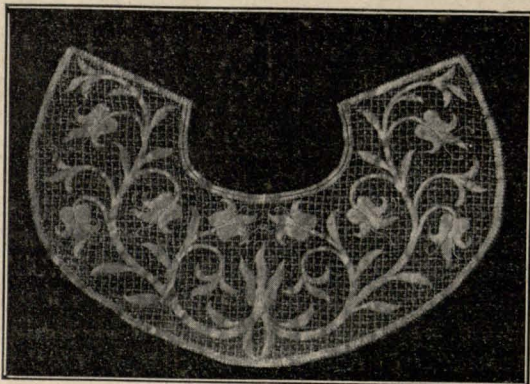
Matka Boska.

Nr. 2 jest wzięty z parzenicy i zaakcentowany rozwiniętym jej fragmentem.

Nr. 3 wzorowany na starej misce zakopiańskiej, 4—na góralskim drewnianym dzbanuszku, 5—w leluje i gwiazdy, 5—kwaciarka, nosi ozdoby, skombinowane z motywów miejscowych.

Talerze: jeden w róże, wzięte ze starej skrzyni góralskiej, drugi ze swastyką i gwiazdą z połączonych parzenic. Mamy więc świeże modele naczyń zakopiańskich.

Hafty własnoręczne p. Szczygielskiej odznaczają się czystym rysunkiem, trafną kompozycją i umiejętnie dobranym kolorytem; widać je rozwieszane na ścianach salonu; mo-



Kołnierzyk haftowany.

tywy wzięte z parzenic, ozdób, znalezionych na starej góralskiej kijance, skrzyniach i sianach.

Pięknie pomyślany rysunek parawanu w środkowym skrzydle przedstawia zakopiańskie leluje, na bocznych u góry przekrój maliny, przypominający ogólnym kształtem wyszywanie na serdakach, ptaki fantastyczne są wzorowane na wycinankach łowickich.

Jan Mosz postanowił odnowić niegdyś kwitnący na Podhalu przemysł żelazny; stalowe jego rączki do ciupag, sąsiecetek z żelaza, a zwłaszcza okucia do skrzynek, wzorowane na okuciach starych chałup gazdowskich, są to wprost cacka kunsztu ślusarskiego.

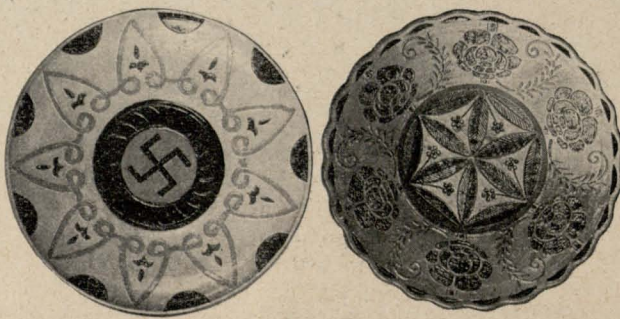
Artystyczną wartość wzorów na malowania ścienne, pomysłu pana Kłosowskiego, daje się dostatecznie ocenić na pierwszy rzut oka.

Skórzane nabijane paski damskie i męskie p. Biechońskiej, wzorowane na świetnych pasach góralskich, koronki p. Staszowskiej według kompozycji p. Witkiewicza, kilimy, przyozdabiające pokój dziewczyny, tkane własnoręcznie przez synowicę p. Brzegi, Józję, oraz fryz ze starych góralskich obrazów świętych, malowanych na szkle, dodatnio wyróżniających się kolorytem od odpowiednich litografii niemieckich, dopełniają tę niezmiernie ciekawą wystawę. Chata, na której ganku przy małym rzeźbiarskim warsztaciku pracuje Jaś Brzega, przedstawia całość tak piękną i harmonijną, że się wyjść z niej nie chce.

Wystawę, pomimo znacznej odległości od centrum Zakopanego, zwiedziło około tysiąca osób; wszystkie eksponaty zostały zakupione, artyści otrzymali wiele zamówień. Wystawa jeszcze trwa, a inicjatorowie jej myślą już o nowym projekcie: wyparcia przez miejscowe wyroby saneczek do szlichtad i tyżewski, sprowadzanych dotychczas z Czech i Davos.

Praca ich i energia, której złożyli dowody, rokuje jak najlepsze szanse temu przedsięwzięciu.

Tu należy dodać, że produkcja wyro-



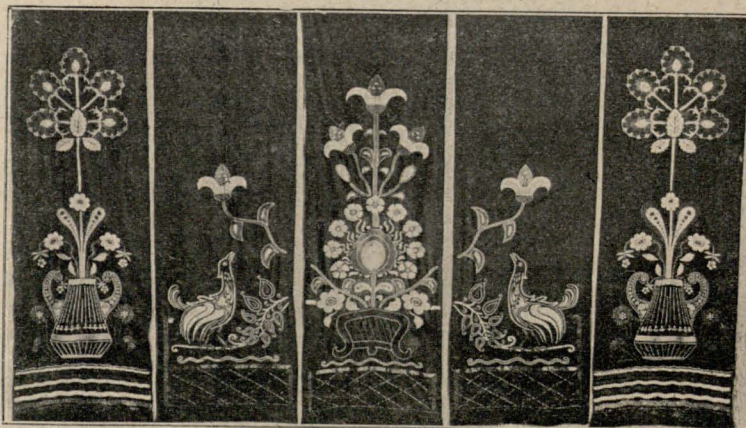
Talerzyki.

bów zakopiańskich nie zdążyła jeszcze ogarnąć nawet rynku miejscowego, i w wielu sklepach spotyka się tandetę tyrolską; rozmaite kozice, głowy psie i sowie, nie mające nic wspólnego ze sztuką wogóle, a ze sztuką miejscową—jedynie napis „Zakopane”.

Wystawa nie tylko jest ciekawa, ale i pouczająca, jako wymowny dowód, że umiejętne wyzyskanie motywów ludowych w szerokim, nie tylko zakopiańskim znaczeniu tego wyrazu naprowadza nas na tropy własnego stylu, że, idąc tą drogą, możemy rozwinąć bogato gałęzie własnego artystycznego przemysłu, nie tylko w tym sensie, że siły wykonawcze będą własne, ale i charakter wyrobów swoisty, oryginalny.

Dla nas, którzy mamy tak mało swego, otwiera się pod tym względem szerokie, a zaniedbane pole twórczości.

Znamy wszyscy secesje niemieckie, ale prawdopodobnie dla wielu będzie niespodzianką wiadomość, że słynna fabryka porcelany



Hafty na wystawie zakopiańskiej.

w Sèvre podług modeli rzeźbionych naczyń góralskich wyrabia serwisy filiżanek pod marką „style polonais”.

Mieszkania nasze są, po większej części, Pocięjowem, w najlepszym wypadku zbiorowiskiem gratów z rozmaitych epok, być może, cennych, ale znajdujących się z sobą w rażącej sprzeczności. Mała wystawa kilku izb Brzegi przekonywa, że za stosunkowo niewielką cenę, już przy obecnym rozwoju sztuki stosowanej, można sobie urządzić mieszkanie w swojskim i jednolitym stylu.

Wprowadzenie pierwiastka piękna w stałe otoczenie, w treść codziennego życia czyni je mniej banalnym i brutalnym, stałe oddychanie taką atmosferą wpływa na rozwinięcie smaku, i w ten sposób sztuka stosowana przyczynia się w wysokim stopniu do rozwinięcia wogóle poczucia piękna, które się z czasem staje potrzebą, nie zaś zbytkiem.

Dziś popyt na „sztukę” w naszym społeczeństwie jest niezmiernie niski i trzyma się jedynie snobizmem bogaczy, lub rzadkiem zamiłowaniem jakiegoś „dziwaka”.

Na zakończenie zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę: w sztuce stosowanej musi być uwzględniona wygoda i rozmaite nowoczesne wymogi kultury.

Przy pewnej pomysłowości względem tym może stać się zadość. Przykładem niech będzie kaganek góralski. Zdawałoby się, iż w epoce elektryczności ładny ten sprzęt musi przejść do rzędu zabytków archeologicznych, tymczasem umieszczenie w nim zamiast łuczycywa leżącej lampki łukowej, jak to widziałem w domu d-stwa Dłuskich przy Sanatorium, ocala kaganek i zmienia go w stylowy świecznik, doskonale do całości dopasowany. Wyraz ostatni podkreślam, gdyż właśnie na tem dopasowaniu rzecz cała polega.

Błędem fanatyków zakopiańszczyzny, do rych nie należą, było wpieranie tego stylu wszędzie, nieraz w warunki zgoła nieodpowiednie. To wywoływało reakcję w przeciwnym kierunku i tworzyło równie fanatyczną sektę „zakopianoburców”. Osobiście z dwójga złego wolę fanatyzm, który „nowe” tworzy, niż ten, który naradzające się w zarodku zdusić pragnie.

Styl zakopiański w rękach fuszerów może przybierać postać bezkształtną, ale w rękach artystów, ze względu na bogactwo tkwiących w nim surowych motywów, w oczach się rozwija w sprawę piękną i godną poparcia.

## TRUCICIELE.

Jest wśród nas duży zastęp ludzi, którzy nie posiadają w sobie żadnych sił twórczych, żadnej energii do czynu, żadnej woli do pokonywania przeszkód, za to ogromną dozę goryczy. Ludzie tacy ze wszystkiego są niezadowoleni, wartość wszystkiego obniżają. Kiedy mówią, z ust ich płynie trucizna, zabijająca siły, energię, wolę innych. Pogląd ich na najważniejsze sprawy bywa najczęściej beznadziejnie rozpaczliwy, i tę beznadziejność krzewią dokoła siebie, przesącza ją w umysły i serca innych.

Ludzie tacy są szkodnikami, często może bezwiednymi, co jednak winy ich i odpowiedzialności wobec jutra nie zmniejsza.

Szkodników tego rodzaju zawsze mieliśmy pod dostatkiem, ale nigdy nie było ich tylu, co w chwili obecnej, kiedy naród z trudem zbiera swoje siły, rozbite po przejściach lat ostatnich, kiedy każda inicjatywa, każda praca potrzebują zachęty,







Z dziejów pierwszej wyprawy do bieguna północnego Wilhelma Barentza w r. 1596.

## Do bieguna północnego.

Cook, czy Peary, czy obaj?

Czy cel usiłowań tylu uczonych i badaczy został osiągnięty? Czy stopa człowieka stanęła na dziewiczej, nie tkniętej, lodowej powierzchni bieguna północnego?

Kiedy entuzjastycznie witano w Kopenhadze śmiałego eksploratora, d-ra Cooka, na pytanie to można było tylko twierdząco odpowiedzieć. Ale jeszcze brzmiały na ulicach stolicy duńskiej okrzyki tryumfalne, kiedy druty telegraficzne przyniosły wieść nową, zdumiewającą: cel, nie osiągnięty dotychczas jeszcze przez nikogo, stał się udziałem dwóch ludzi: porucznik Robert Peary zatknął flagę gwiazdzistą na biegunie północnym d. 6 kwietnia r. b., w rok blisko po Cooku, który dotarł tam 21 kwietnia r. z.

Ta dziwna zbieżność wzbudza pewne wątpliwości. Wzbudza je tem bardziej, że obaj znakomici podróżnicy nie żałują sobie zarzutów, nie tylko zaprzeczających wzajemnie faktom odkrycia, lecz poprostu bezpośrednio graniczących z nieuczciwością.

Że zaś obaj są ludźmi poważnymi, posiadającymi przeszłość naukową, więc dla dobra ludzkości wierzymy tymczasem obu, wierzymy, że byli na biegunie, zanim uczeni papierów ich i notatek nie sprawdzą i wyroku nie ogłoszą.

Cook i Peary stanowią ostatnie dwa zwycięskie ogniwa całego długiego szeregu nieustraszonych badaczy, którzy życie swe i mienie poświęcali dla celów naukowych, dla poznania nieznanego, choć teoretycznie poznawalnego.

A było ich wielu, poczynając od Wilhelma Barentza w roku 1596-ym, że wymienimy tylko Nordenskjölda, Fritjofa Nansena, Mikkelsena, ks. Abruzzów. I chociaż nazwiska Cooka i Peary'ego, większą nad inne opromie-

nione zostaną chwałą, to przecież stwierdzić trzeba, że zwycięstwo ich jest tylko wynikiem wysiłków tych śmiałych, znakomitych i bezimiennych ludzi, których szeregi od kilkuset lat dążyły do tajemniczego punktu, pociągane niby magnetyczną siłą.

wyprawy, znajduje się obecnie w drodze powrotnej.

Przed opuszczeniem Ameryki Peary oświadcza: „Jeżeli tylko powodzenie uwieńczy moje usiłowania, wydam walną bitwę biegunowi północnemu podczas zimy. I jeżeli podczas zimy odkryję biegun, to o moim tryumfie dowiecie się między 15 sierpnia a 15 września 1909 roku”. Tak się też stało. Ściśle tak; jak przepowiedział.

Posłuchajmy teraz opisu końcowych epizodów podróży.

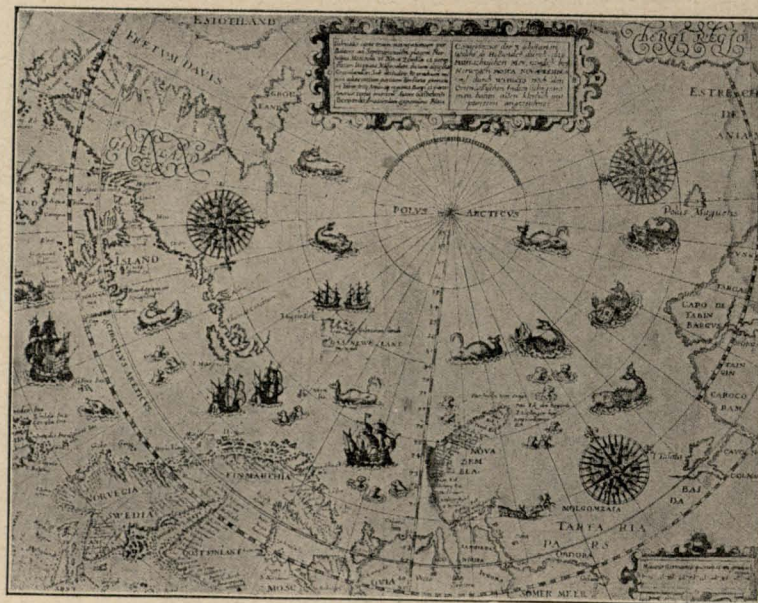
Peary idzie z Bartletem; obaj czynią obserwacje astronomiczne, przechowywane w dwu egzemplarzach, u każdego po jednym. Naraz na szerokości północnej blisko 88 stopni rozstają się: Bartlett powraca.

Pierwsza wątpliwość. Wydaje się zagadkowym to rozstanie. Dlaczego? Czy Peary nie chciał z nikim dzielić się sławą odkrycia bieguna? Zapewne. Ale równocześnie naraża się przez to na zarzut braku świadka cywilizowanego i rzeczy świadomego. Kilku Eskimosów i Murzyn—oto cała jego eskorta. Czy rozumie doniosłość celu, czy może potwierdzić jego osiągnięcie? Oczywiście nie. Ale ten sam zarzut stosuje się i do Cooka. I on nie ma poważnych świadków faktu odkrycia.

Idźmy dalej. Oto już 89° 25' szerokości północnej. Pogoda psuje się. Mimo to droga po gładkim lodzie bez śniegu biegnie prędko. Robi się ciepło, aż do tylko 15 stopni zima. Psy leżą przed siebie z niezwykłym pośpiechem, jakby znały cel. Niebo rozjaśnia się, co pozwala na określenie szerokości 89 stopni 57 minut.

Niewiele godzin później zapisuje Peary w swym dzienniku: „Nakoniec biegun”. Nie uświadamia sobie zresztą dokładnie do-

niosłości wypadku, osiągnięcia celu, do którego dążył od lat dwudziestu. „Jest tak, jak w zwykłe dni powszednie”. Zmęczenie, mieszanina uczuć



Mapka wyprawy Barentza.



Grupa Eskimosów, którzy towarzyszyli wyprawie Peary'ego.

W wyprawie porucznika Roberta Peary'ego uderza przedewszystkiem ścisła logika dążeń i dokładność przygotowania. Dlatego warto się z nią zapoznać.

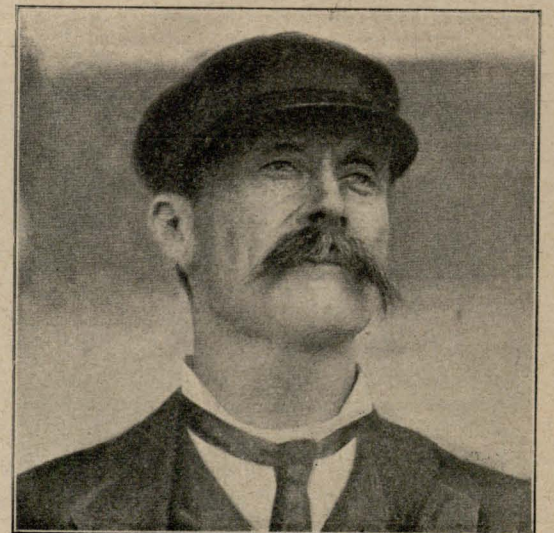
Projekt jego polegał na użytkowaniu cieśniny Smitha, czyli drogi t. zw. amerykańskiej, uważanej za najszybszą, najbliższą i najśmielszą. Zapewnia ona korzyści podstawy gruntu stałego, wysuniętego o setkę mil na północ, czego nie można znaleźć w żadnym punkcie okolic arktycznych. Posiada wreszcie tę zaletę, że ciągnie się długą linią brzegów, łatwą do odszukania i zapamiętania w drodze powrotnej.

Wyruszył tedy w lipcu r. 1908-go na doskonale urządzonym statku, *Roosevelt*, który mu już służył przy podróży poprzedniej, w towarzystwie kilku wybitnych ludzi, których zadaniem były specjalne badania czysto naukowe. Załoga składała się z piętnastu ludzi pod wodzą dzielnego kapitana Bartleeta.

Przewidział wszystko. Jeżeli nie da o sobie wiadomości przed latem r. b., ma być wysłany śladem jego wyprawy statek z zapasami żywności. Tak się też stało. Okręt *Jeannie* opuścił New York 3 sierpnia r. b.; zawiadomiony o powodzeniu



Dr. Fryderyk Cook.



Porucznik Robert Peary.



Porucznik Robert Peary i dr. Fryderyk Cook w strojach podbiegunowych.

dumy, zadowolenia, zdumienia i zwycięskiej lekkości sprawia, że spać nie może, i narazie słabnie jego energia.

Dzień badań, wycieczek w różne strony, i 7 kwietnia rusza w drogę powrotną.

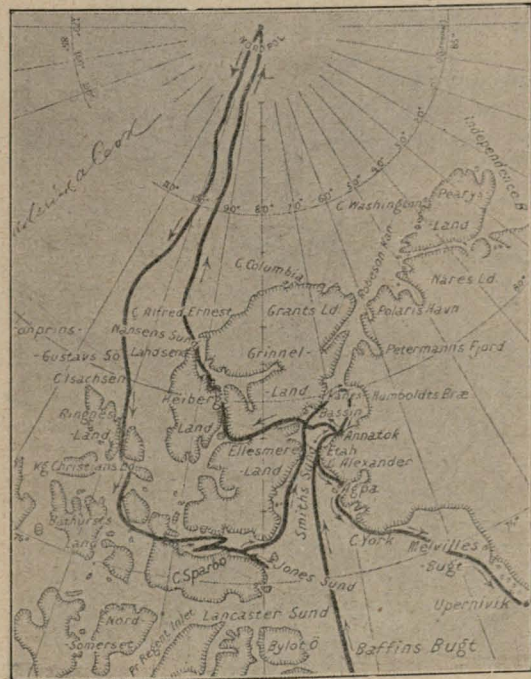
Sumaryczne sprawozdanie z wyprawy Peary'ego brzmi, jak następuje:

„Roosevelt opuścił New-York 6 lipca 1908 r. Wyjechał z Sydney 17 lipca i przybył do Cape York w Grenlandyi 1 sierpnia. Wyjechał z Etah w Grenlandyi 8 sierpnia, przybył do przylądka Gransland 1 września i przezimował w przylądku Sheridana. 15 lutego b. r. ekspedycja opuściła statek i na saniach, zaprzężonych w psy, ruszyła dalej na północ, w kierunku przylądka Columbia.

„1 marca opuściła północną część tego przylądka i pobiła rekord brytyjski nazajutrz. Woda zatrzymała ją w drodze 2 i 3 marca. Z tej samej przyczyny musiała zatrzymać się od 4—11 marca.

„11 marca przeszła 84° szer. półn. Napotkała wolny kanał wody 15 marca, przebyła 85° 12 i 86° 22 marca. Nazajutrz napotkała znowu wolny kanał i tegoż dnia pobiła rekord norweski.

„22 marca pobiła rekord włoski i napotkała wolny kanał 26-go. Nazajutrz przekroczyła 87°. 28-go marca pobiła rekord amerykański. Tegoż dnia i nazajutrz opóźnienie z powodu napotkania dwóch kanałów wody.



Mapka drogi, przebytej przez Cooka.

„28 marca przekroczyła równoleżnik 88-y, 4 kwietnia—89-y. 6 kwietnia znalazła się na biegunie.

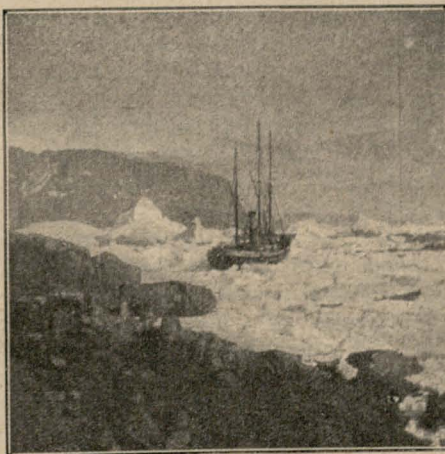
„7 kwietnia ruszyliśmy w drogę powrotną; przybyliśmy na przylądek Columbia 23 kwietnia, a na pokładzie *Roosevelta* znaleźliśmy się 27 kwietnia”.

Sprawozdanie to podlega poważnej krytyce specjalistów. Ci, którzy znają okolice podbiegunowe, twierdzą wręcz, że tego rodzaju postęp, wyrażający się, po obliczeniu na zwykłe miary, w cyfrze około 30 klm. dziennie, jest w danych warunkach niemożliwy.

Na to odpowiada Peary, że miał psy doskonałe i ludzi wycwiczonych, że z wczasu poczynił po drodze przygotowania. I mimochodem czyni Cookowi zarzut, że ten korzystał z jego zapasów żywności i z jego Eskimosów. Na co zacepiony

odpiera, że Eskimosi nie należą do nikogo i mają prawo do przelotu za tym tylko, który lepiej płaci.

Spór o biegun północny musi tymczasem pozostać nie rozstrzygniętym. Bo Cook w Kopenhadze był bez swoich papierów i notatek, a Peary broni się tylko, telegrafując do pism, siedzi bowiem jeszcze w Battle Harbour, gdzie naprawia swój statek. Wyrokować będzie Towarzystwo Ge-



Statek „Hans Eggede”, na którym powrócił dr. Cook.

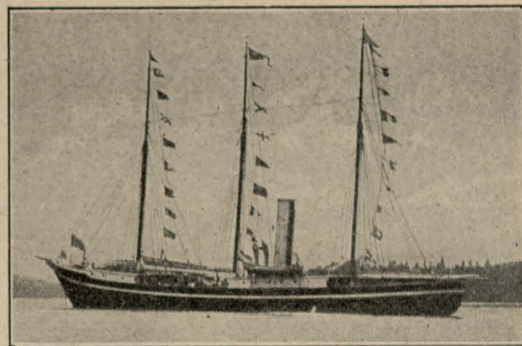
ograficzne w Waszyngtonie, które zachowuje się dotąd z zupełnie poprawną rezerwą.

Ważne będą, oczywiście, notatki i spostrzeżenia astronomiczne i meteorologiczne, ale równie ważne będą badania osobiste Eskimosów, którzy towarzyszyli obu podróżnikom. Cook liczy na pomoc znanego podróżnika i uczonego, Knuta Rasmussena, napół Duńczyka i napół Eskimosa, który potrafi wypytać jego dwóch towarzyszy.

„Niestety—mówił do korespondenta *Matin'a*—jeżeli Peary chce mnie zgubić za wszelką cenę, może tak zastraszyć Eskimosów, że powiedzą tylko to, co on będzie chciał i co im każe. Posiada bowiem na nich wpływ nieograniczony, zdobyty w ciągu dwudziestu lat panowania wśród tych ludów Północy, panowania nie zawsze słodkiego i łagodnego”.

W poważnym sporze, w wielkości i potężności odkrycia nie brak jednak i nuty komicznej. A daje ją polityka.

Peary telegrafował do prezydenta Tafta, składając



Statek „Roosevelt”, wyprawa Peary'ego.

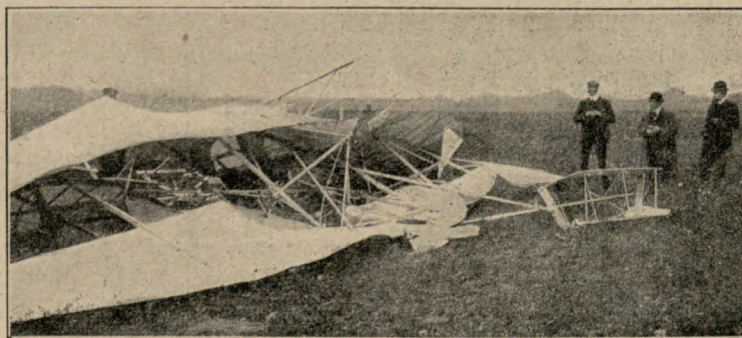
w ofierze Stanom Zjednoczonym terytorium, przyległe do bieguna. Taft podziękował mu serdecznie, wyznając równocześnie z całą otwartością, że nie wie, co z tym fantem zrobić.

W angielskiej izbie gmin poseł konserwatywny, sir Parker, zapytał rząd z całą powagą, czy biegun północny, jako przedłużenie Kanady, należy do cesarstwa brytyjskiego i w takim razie, jak należy uważać zatknięcie tam sztandaru gwiazdowego Unii amerykańskiej? Odpowiedział mu Asquith nie bez humoru, że nie wie jeszcze, czy na biegunie jest ląd stały i że cała sprawa wydaje się dotąd zbyt problematyczną, aby zasługiwała na interwencję dyplomacji.

Rzecz w tem, że, jeżeli uważać będziemy biegun północny za terytorium nie zajęte, to należy ono do pierwszego, który je zajął, a że tym pierwszym jest Amerykanin, więc i odkrycie jego rozszerzy posiadłości wielkiej Rzeczypospolitej. Jeżeli zaś ziemia czy woda, a raczej lody biegunowe stanowią przedłużenie naturalne bądź to Kanady, bądź Grenlandyi, to o posiadanie będą się ubiegały Anglia i Dania. Tak więc mamy już trzech współzawodników do posiadania krańców kuli ziemskiej, o których jeszcze z całą pewnością powiedzieć nie można, że są odkryte.

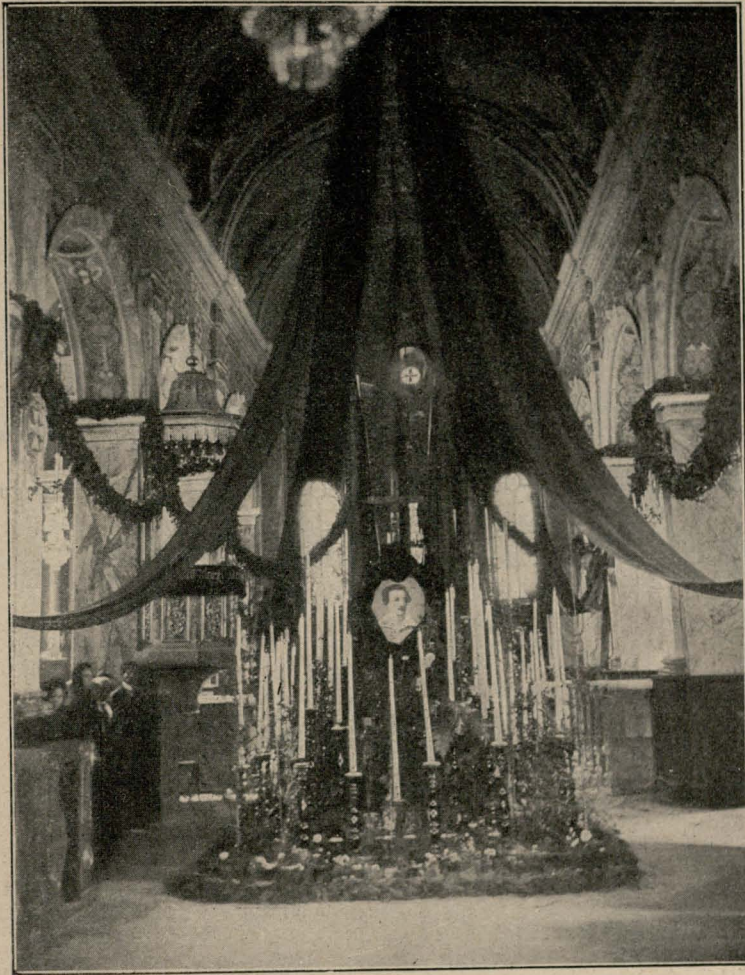
KATASTROFA W REIMS.

Opinia publiczna różnych krajów wypowiada się różnie o rywalizacji podróżników. Dania, wierna pierwszym objawom entuzjazmu, w całości oświadcza się za Cookiem; cała Anglia składa się ze zwolenników Peary'ego. Inne narody zachowują się bardziej spokojnie i powściągliwie. Stany Zjednoczone mogą być słusznie dumne: obaj rywale są ich obywatelami; jeden z nich, albo obaj pobili rekord świata.



Lotnik E. Lefebvre, który miał kierować wzlotami w Warszawie i padł ofiarą rozbicia statku powietrznego podczas popisów w Reims.—Szczątki biplanu Lefebvre'a.





Dekoracja wewnętrzna kościoła w Krzemieńcu, podczas nabożeństwa za Słowackiego.



Odpoczynek w polu.

„obojętność dla świata”, ale i „nie płakana trumna” stała się jego udziałem.

I przypomina się piękna strofa „Testamentu”: „Niech przyjaciele moi siedzą przy puharze i zapiją mój pogrzeb—oraz własną biedę, jeżeli będę duchem, to się im pokażę”...

Pokazał się nam, był wśród nas, mimo wszystko, dnia 4 września i w krzemienieckim kościele, i w Warszawie, na pierwszym przedstawieniu „Złotej Czaszki”, bośmy się w imię jego i tu, i tam zebraли.

Dudni echem w zagrodzie, aż oddają obórki! to w stachowej stodole biją młocki do czwórki...

Na dwie strony snop żytni, rozciągnięty pokotem, furczą w górze bijaki, uderzając, jak młotem! Łupu-cupu Stach z Józwe! łupu-cupu Jaś, Grzela... Co uderzą, to ziarno popod krokwie wystrzela!

Zrazu lekko po kłosie, a po knębiu z rozmachem... Biję Janek i Grzela, bije Józwa ze Stachem, raz i drugi „posadem” przeszli z prawa i z lewa...

Starli słomę na sieczkę, nie ostała i plewał! Będzie miało do syta, jeno wytrząść kłosiaki...

Odwracają cepami, podkładając dzierzaki, wzięli w górę na kije, trzęsą społem na siano, najpród długie żdźbła proste, potem słomę targaną...

Czasem między badyle zawieruszy się ziarno... Jeszcze cepem po wierzchu, tylko z góry, a śwarnol!

Łupu-cupu! Stach z Józwą...  
Cupu-łupu! Jan z Grzelą...  
Podsypało niezgorzej,  
Aż się oczy weselą!

Będzie z „czubem” dwa korce, jak wywieje do czysta...

Na bok cepy! za grabie!

Wre robota siarczysta! Józwa szuflą podgarnia, Grzela zmiata z boiska...

Usypali dwie kupy, kieby jakie mrowiska! Stacho wrótni uchylil: czy wiatr dobry zaleci?

Ciągnie...

— Sypta, chłopaki! Póki słońce nam świeci!

Sypie Józwa z mańkuta, sypie Grzela z prawicy, Janek „sczynia” pomietkiem, niczem baba w świetlicy...

Pada zboże półkolem,  
Jak grad z chmurnej ulewy,  
Wietrzyk polny oddziela  
Czyste ziarno od plewy!

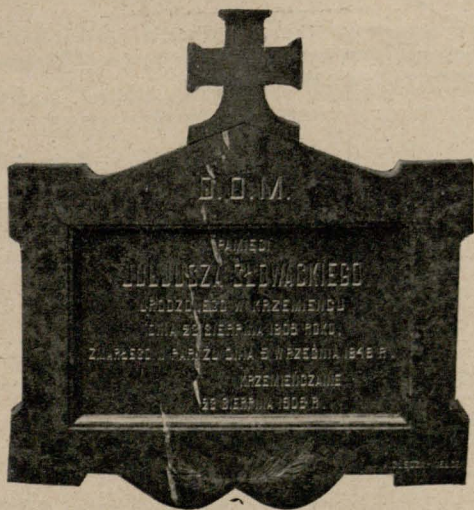
K. LASKOWSKI.

## W PIĘKNIEM RODZINNEM MIEŚCIE.

„W pięknym rodzinnym mieście” Juliusza, w Krzemieńcu, po gwarnym niegdyś życiu zapanowała cisza grobowa. Po dawnej uczelni, gdzie rozlegały się poważne głosy Aloizego Felińskiego i Euzebiusza Słowackiego, uczelni, która, pod egidą niezapomnianej pamięci Tadeusza Czackiego, nie przestawała być ani na chwilę jasnym ogniskiem kultury europejskiej i czystej nauki, nie masz i śladu. Krzemieniec z „Aten wołyńskich” przemienił się w zapomniany partykularz, gdzie życie zamarło, zagasło.

Nie dziw więc, że nie mogło być mowy, ażeby gród rodzinny autora „Kordyana” uczcił głośnym, radosnym obchodem setną rocznicę jego urodzin.

Wszakże, w miarę możliwości, i Krzemieniec podążył za innemi miastami polskimi w uczczeniu godnym jubileusza Słowackiego, około czego zakrzętało się gorliwie grono ludzi dobrej woli, obywateli tamtejszych. W dniu 4 września odbyła się więc uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej na cześć poety, w kościele tamtejszym wmurowanej. Liczne tłumy rodaków pospieszyły na ten cichy obrządek, aby w tej chwili podniosłej połączyć się duchem z tym, co „żył, cierpiał i płakał z nami”... Tak więc nie tylko



Tablica pamiątkowa Słowackiego w Krzemieńcu.

## Z „NOWEGO”.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Z „nowego”...

Niema nic milejszego, nic dzwonnejszego w całym słowniku rolnika!

W tem krótkim określeniu jest wszystko: nadzieja, otucha, pewność siebie, są raty „Tow. Kredytowego Ziemskiego”, podatki, sukienki dla Zosi i Maryni, jest „wpis” za chłopców, często gęsto rachunek kupców w miasteczka i innych jeszcze spraw finansowej natury wiele!

Byle wytrwać do „nowego”, to z „nowego”... i t. d....

Bo, proszę kochanych państwa, co z „nowego”, to nie „na zielono”, kiedy to szlachcic, panie, po długich ceregelach trochę gotowizny zdobyć może. „Z nowego” to, panie dobrodzieju, co innego. Tobie się kłaniają, a nie ty im.

Byle tylko na sucho zebrać i zacząć młócić. To też niema piękniejszego instrumentu dla rolnika nad młocarnię, choćby kieratową, piękniejszej melodyi nad odgłos cepów.

Postawcie Barcewicza przed dworem ziemiańskim na przednówku, niech zagra, jak to on umie, każcie śpiewać Kochańskiej, sprowadźcie wreszcie Nikischa z jaką orkiestrą, a niech się równocześnie odezwie „trajkotka”, albo niech gwiźnie lokomobila, zobaczycie, ku której stronie szlachcic ucho nastawil!

I nie tylko szlachcic, jak to u nas każdego ziemianina zwać zwykli, nie tylko obciążony długami „obszarnik” (najnowsza modna nazwa), ale każdy, co z roli żyje. Jednemu lokomobila, drugiemu zwykłe prastare cepy, ale uciecha, radość, otucha jednakie.

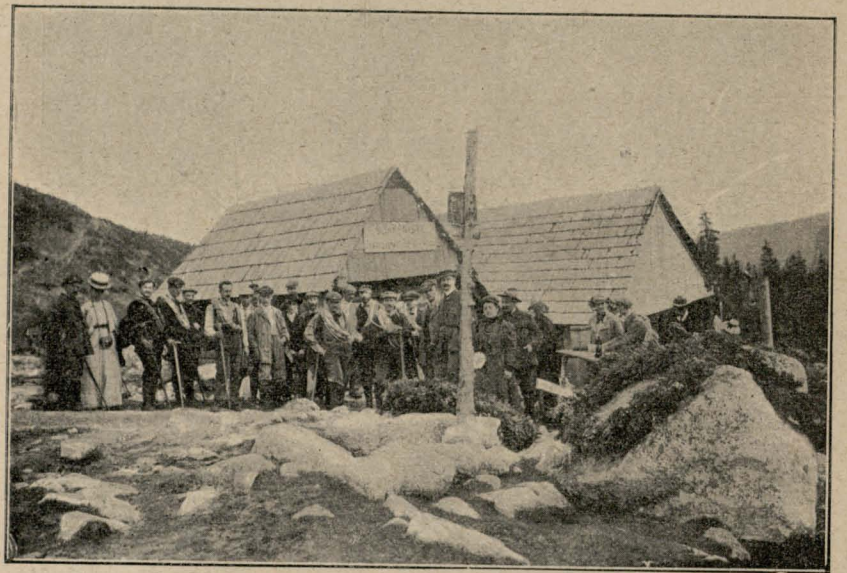
Bo posłuchajcie jeno!



Ostatni snopek.



Poświęcenie kamienia pamiątkowego ś. p. Mieczysława Karłowicza w Zakopanem.



Zarząd sekcji turystycznej Tow. Tatrzańskiego, przed schroniskiem na Hali Gąsienicowej.

## PAMIĘCI KARŁOWICZA.

Widownią pięknej uroczystości były w tych dniach Tatry pod Zakopanem: odbył się obrzęd poświęcenia kamienia pamiątkowego na miejscu, gdzie w dniu 8 lutego r. b. zginął, zasypany lawiną śnieżną, ś. p. Mieczysław Karłowicz.

O paręset kroków od Schroniska Towarzystwa Tatrzańskiego na Hali Gąsienicowej, u stóp drogi, wijącej się z boczem Małego Kościelca, wznosi się biały, skromny głaz, a na nim napis krótki: *Mieczysław Karłowicz tu zginął porwany śnieżną lawiną d. 8 lutego 1909. Non omnis moriar.* U dołu swastyka, godło nieśmiertelności.

Liczne grono gości i członków Towar-

zystwa Tatrzańskiego towarzyszyło temu obrzędowi, którego momentem jednym z najpodnioslejszych było przemówienie artysty-malarza p. Skotnickiego, który, między innymi, powiedział, co następuje:

Wprawdzie dochodziły nas słuchy, że gdzieś narodził się pieśniarz nowy, ale dopiero w styczniu roku bieżącego Polska poznała go w całej okazałości, i posypały się oklaski i kwiaty, witając nowego geniusza.

Geniusz Karłowicza tryumfował. W dwa tygodnie później potoczyły się łzy, posypały wieńce żałoby, żegnając go na zawsze.

Smutek i przygnębienie były zupełnie szczere, tem szersze, że czuliśmy, ile tracimy, bo wszystkim był nam bliski, bo ból jego był naszym bólem, bo smutek jego był naszym smutkiem, *bo pieśń jego było naszą pieśnią.*

Któż teraz poprowadzi przez dolinę łąz naszą? Kto wyśpiewa duszę naszą?

A czynił on to nie melodramatycznie, ale silnie i potężnie.

Dla obcych narodowości mógł być on mniej zrozumiałym, ale szanować musieli go, słysząc w jego sztuce te wstrząsające uczucia, jakie nim miotają. Bo sztuka jego wypływała z bezgranicznej miłości do tego nieszczęsnego kraju, jego natury i do tych Tatr potężnych.

Turnie ukochały sobie, ukochały po swojemu, jak umiały, przyciągnęły do siebie tym strasznym uściskiem obrzyna, a natura okryła go białym całunem, bo białą była dusza Karłowicza!

Piękne było życie i piękna śmierć tego cichego, a szlachetnego człowieka!

### OSOBISTE.

Redaktor naczelny naszego pisma, dr. Józef Wolff, wyjechał na kilkotygodniowy wypoczynek zagranicę.

### Z WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ.



Wycieczka lwowskiej „Ligi pomocy przemysłowej” na wystawę do Częstochowy. Fot. M. Münz.

### Zużyte marki.

W zeszłym roku, wyjeżdżając na dłuższy pobyt do Petersburga, dziękowałem za pośrednictwem poczytnego pisma, *Tygodnika Ilustrowanego*, wszystkim tym, którzy uczestniczyli w dziele zbierania zużytych marek na rzecz Misji afrykańskich; dziś, powróciwszy do Korca, znowu najserdeczniej dziękuję za te krocie, jakie w nieobecności mojej były tu nadsyłane, a przytem zachęcam i nadal do tego szlachetnego dzieła, gdyż tak nieznacznymi środkami możemy dużo jednak dobrego uczynić.

Ks. Kanonik

IGN. LOJOLA HEBOWSKI  
proboszcz korecki.

### ZMARLI.

ANTONI ZAREMBA, zmarł w Moskwie, d. 17 sierpnia r. b. Śmierć wydarła miejscowej kolonii polskiej człowieka zacnego i zasłużonego. Brał

on czynny udział w jej życiu; był prezesem sekcji kulturalno-oświatowej w towarzystwie „Dom Polski w Moskwie”, gdzie jego jasny umysł, rozległe



doświadczenie, niezmiernie dobre serce i powaga oddawały usługi nieocenione. Ś. p. Zaremba pracował w piśmie *Russkija Wiedomosti* i w innych pismach rosyjskich, przyczyniając się w ten sposób do sumiennego i źródłowego informowania opinii rosyjskiej o sprawach polskich. Zbraknie go i na tym ważnym posterunku i w życiu społecznym polskiem, które ponosi stratę niepowetowaną. Cześć jego pamięci!

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe**  
**J. FRUZIŃSKI.**

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
**NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

**K**SIĘGARNIA **Fr. RACZKOWSKIEGO**  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
przeszła na własność  
**GEBETHNERA i WOLFFA.**

**Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewskiego**  
Żądać wszędzie.

### WARSZAWIANKA



**F. JANKOWSKIEGO.**

**WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR”** poleca:  
Sole do kąpiei **NAUHEIMSKICH** z kwasem węglow.  
Sole do kąpiei **BALSAMICZNYCH** z kwasem węglow.  
Sole do kąpiei **JODOWO-BROMOWYCH** z kw. węg.  
Sole do kąpiei **SIARCZANYCH** z kwasem węglowym  
Sole do kąpiei **ŻELAZISTYCH** z kwasem węglowym.

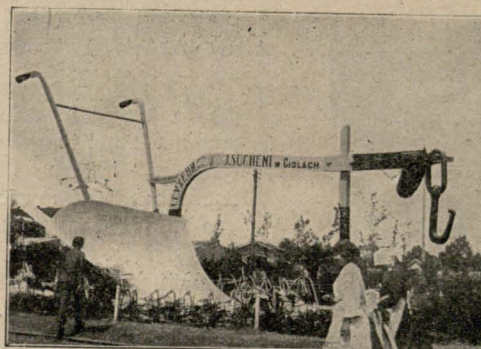
**PIWO DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne  
sprzedają wszędzie.

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE

**I. FILIŃSKI** Marszałkowska 153.

**„ŚMIECH”** Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,  
w Warszawie kwartalnie rub. 1,  
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

W N-rze 37 „Tygodnika Ilustrowanego” w opisie fabryki kajetów szkolnych O. ROMA, czytać należy telefonu Nr 10 96.



Wielki PŁUG reklamowy znanej krajowej fabryki J. SUCHENIEGO w Gidlach (gub. piotrkowska) odznaczonej MEDALEM ŻŁOTYM.

Najstarsza ta w kraju fabryka pługów jedno i dwusobowych, nagradzana w kraju i zagranicą dzięki nieustannym ulepszeniom swych wyrobów, cieszy się obecnie największym u nas rozpowszechnieniem tychże wyrobów.



Stali tak, jak posąg na krawędzi ziemi.

K. GORSKI

Ociągała się szlachta przy ucztach, choć już wyczerpano z wysiłkiem porządek dań. Ale stały na stole wety rozliczne, i bez przerwy zmieniały się butelki. Dźwięki walca z sąsiedniego salonu poruszyły wreszcie biesiadników od stołu. Wielu jednak mężczyzn przyjęło sygnał powstania z żalosnym pomrukiem, więc pan Hieronim, chociaż powstał, zapraszał dobrodusznie:

— Komu wola zostać tutaj, niech i zostaje. U nas bez fanaberyi: dom i co w nim jest, na wasze usługi, kochani.

Rozkrzyżował ręce, błogosławiące bez różnicy wszelkie chęci miłych gości.

Więc pan Apolinary zmienił tylko miejsce i przysiadł się do Jana Miłaknisa, aby w oparach węgryzna tem łatwiej obrobić z ludowcem kwestyę litewską. I kilku innych

statystów skupiło się w grupę gwarną, z węgierską po litewsku myślącą.

Kazimierz przeszedł z Krystyną do salonu, gdzie Stanisław Kmita, jak z dziennika mój wycięty, rozpoczął tańce w parze z narzeczoną.

— Czy pani będzie tańcowała?—zapytał Kazimierz.

— Nie, panie. Nie tańcowałam od... od bardzo dawna... i dzisiaj nie rozpocznę. Ale może pan?...

— Ja? z innemi?!... Nie.

Popatrzyli przez pewien czas na wirujące po salonie pary, posuwając się wolno wzdłuż ściany ku drzwiom, otwartym na ogród. Wesoło tu, prawie szczęśliwie było w gwarnym dworze, ale poza nim dopiero zaczynał się ich świat.

Ich świat wydał im się zrazu oślepiającym przez mrok, który ich zaskoczył, gdy, lekko niesieni półświadomą zgodą, opuścili światło salonu, zeszli z kilku schodów i stanęli pośród nocy, drżącej tajemnicą. Powoli jasność inna, niezmiernie luba, wstępowała w ich oczy, i poznali, że są na szczycie góry, porośniętej wielkimi kępami cieniów, a dalej w mlecznym szafirze, niżej w stalowym zwierciadle jeziorza—panuje księżyc.

Przepadała muzyka ziemska, gadały liście coraz wyraźniej i składniej, ciągnęła Świtezianka w bezmiar błękitniejący. Podali sobie ręce i szli przed siebie, gdzie oczy niosły.

Ani słowa... Nie trzeba płoszyć nocy, gdy czyni swe czary...

Nabierając marzeń ze srebrnego kraju, przekazywali je so-

bie co chwila w krótkich błyskach spojrzeń, muzykalnie, zgodnie, jak prym i wtór, i nie mogli wyrazić lepiej tego, co gadała za nich noc ich własna, że świat jest mój i twój, że życie nowe otwiera się przed nimi wspólne, jedyne, aż dziwne, jakie jasne.

Wiedzieli, że równi są sobie, najpiękniejsi i pożądani; z dusz ich opadły wstydy i wahania; moce ich wszystkie dążyły ku sobie, aby się spoić w jeden poryw ku zbliżającemu się szczęściu. Szło do nich przez ten raj nocny, oczekujący; słyszeli w piersiach tętna jego przyśpieszonych, niby podwójnych kroków.

Doszli tak do miejsca, gdzie baryera znaczyła brzeg urwiska, i stanęli nie zasłonięci w pełnym świetle miesięcznym. Blask ude-

rzył żywy od obnażonych ramion Krystyny, które pośród bladości otaczającej zaświeciły różowsze. Dopiero tu Kazimierz odezwał się głosem zdławionym:

— Co my robimy? noc taka chłodna!

— Nie czuję... noc kochana...

— Ach! czemżeby tu okryć...—zawołał Kazimierz nieprzytomnie, wpatrując się tylko w ramiona Krystyny, które powiew ziębił.

Ale ramiona zafalowały bez dreszczu, przelewne rozkoszą, i cała postać Krystyny przysunęła się do Kazimierza, niby tuląc się pod jego płaszcz nie istniejący. Spojrzył—w oczach jej księżyc zachodził mgłą, a usta pały, jak róża nocna, pod promieniem odkryta.

— Pani... jedyna!—rzekł Kazimierz szepem, pochylony blisko nad twarzą Krystyny.

Chwyliła silną ręką jego ogarniające, przemożne ramię.

— Kochasz? kochasz na życie? na zawsze?

— Kocham cię, i niech mnie Bóg...

Domówili przysięgi złączonymi ustami i stali tak, jak posąg na krawędzi ziemi, od nieba splecionym kształtem odcięty.

Zdawało się jednak, że ktoś idzie od strony dworu... Oderwali usta oniemiałe, spragnione... Stały od nich opodal dwa cienie, trudne do rozpoznania na tle czerwonego światła, bijącego od okien dworu.

Kazimierz i Krystyna odsunęli się od siebie, a w tej chwili i dwie ciemne postacie zawróciły napowrót do dworu.—Mężczyźni—jeden z nich ogromny—to Hieronim Budzisz—ale kto drugi?

Odezwała się Krystyna:

— Jednak to szaleństwo, żeśmy tu, na miejscu tak oświetlonem...

Oczy jej, pełne jeszcze rozkoszy, wpatrzone w ukochanego, przeczyły wyraźnie rozsądnym słowom.

— Chcesz?—zawołał Kazimierz—wejdziemy razem do salonu i ogłosimy wszystkim nasze zaręczyny? Moje ty najświętsze! moje najmiłociwsze! moje...

— Dobrze.—Poczekaj—tak jednak nie można.

Gdy się namyślali, co począć ze swoim skarbem, czy kłopotem, z tryumfem, czy zdrożnością, ujrzeni postać jedną tym razem, wielką, dążącą do nich. Pan Hieronim, sam we fraku, niósł w ręku jasny płaszcz damski.

— A pani—ty moja! wszak to koniec wrzeźnia, i Litwa tu, nie Włochy! Wietrzyk chwyci—i bieda gotowa.

Okrył Krystynę płaszczem, z którego luźnej piramidy jej głowa tylko wyglądała jak odłam grecki wotywnego posągu.

Wdzięczne oczy skierowała na Hieronima:

— Dziękuję. Pan zawsze dobry był dla mnie.

— Ot wielka łaska!—A daruj, że powiem, panie Kazimierzu: trzeba ostrożniej względem damy tak delikatnej.

Kazimierz dawał się strofować, uznając







Bezwiednie wyciągnąłem pod ławką rękę, chcąc ująć jej dłoń.

Z. BADOWSKI

go ogrodu, gdzie tyle stoczyłem bitew i zapasów na śmierć i życie.

Był to już trzeci dzień świąt, właściwie dzień powszedni, i robotnicy pracowali w inspektach. Natknąłem się na ojca Janka, który znał mnie dobrze i lubił. Był to duży człowiek, z twarzą uderzająco podobną do portretów króla Sobieskiego, dobroduszny i pogodny. Zdaleka już zawołał:

— A! kochany kolega! Cóż kolegę tak raniutko sprowadza?

Ojciec Janka wszystkich współuczniów syna, którzy przychodzili dość często na harce do obszernych jego ogrodów, tytułował „per kolega”.

— Dzień dobry panu dobrodziejowi—rzekłem—ja przyszedłem z bardzo ważnym interesem do Janka...

— Kiedy leniuch przewrócił się na trzeci bok i chrapie, każę go zbudzić zaraz, ale co to za bardzo ważny interes ma kolega do mego Janka? Wolno wiedzieć?

— Ot... nic... głupstwo... drobnostka—bąkałem.

— A więc jakieś bardzo ważne głupstwo—zawołał i począł się śmiać na całe gardło. Po chwili znowu zapytał:

— A ja nie mogę tego załatwić?

Wziąłem na odwagę, bo czas naglił:

— Owszem, proszę pana, chciałem poprosić o trochę fijołków...

— To po cóż Janka do tego? Chodź kolega!

Chciał mi zrobić duży bukiet z rozmaitych bajecznych kwiatów, ale ja prosiłem o fijołki... Niech będzie duży, duży, ale same fijołki.

Przydreptywałem z niecierpliwości nogami, gdy ogrodnik, pod okiem samego pryncypała, gotowe już małe i większe bukietki owijał drutem i kładł jedno obok drugich; potem całą tę masę razem złączył w śliczny kształt podłużny, dodał jakiejś wiotkiej, rosnącej, jak Boże drzewko, trawki, potem cały ten mój skarb ułożył na kilku liściach paproci, trzonek bukietu okręcił srebrnym papierem i—oniemiałemu z zachwyty podał.

O! jakżeż serce mi skakało...

Wyszliśmy z oranżeryi, tymczasem stary mówił, patrząc na bukiet:

— Bardzo, panie dobrodziej, „elegantko” zrobił, duży, makartowski bukiet, z samych fijołków. Ale... kawalerze! mnie się coś za to należy...

Cała radość pękła odrazu w piersi mojej, jak bańka mydlana... Czuję tylko, że wszystka krew uciekła mi do serca, i zimny pot mię oblał. Bąknąłem cicho:

— Ja myślałem, proszę pana, że to będzie... tak parę fiołków... mały bukietek... i właśnie chciałem Janka...

A stary śmiał się znowu na całe gardło i powtarzał:

— A mnie się coś za to należy, ale tylko jedno słówko! Blondynka czy brunetka? co? ha! ha! ha!

Pocieplał mi świat odrazu:

— E... nie... Tak chciałem fijołków rano do domu przynieść... Siostry są na świętach...

— A to kolega aż tak „po fijołkowemu” siostrzyczki kocha? Hm... hm... no—należał w dalszym ciągu—a jakie ma oczy?

— Duże, siwe—powiedziałem, bo już taka radość wezbrała we mnie, że bym mu się chętnie na szyję rzucił.

— A ile kolega ma lat?

— Czternastego sierpnia skończyłem piętnaście—wyrecytowałem jednym tchem.

— O, to już koledze poszło dobrze na szesnasty „nieuroczku”... A któż to taki? Pewnie koleżanka sióstr? co?

— Tak—odpowiedziałem.

— A tak—powtórzył stary i po chwili już sam do siebie mruzczał:—Świat się w kółko jednakowo zawsze obraca... Szesnaście... szesnaście... ot wiosna... i ja już wtedy zaczynałem...—Potem rzekł głośniej:

— A mój gałgan to nic, ino cały dzień z flobertu do wróbli kropi!

Podziękowałem mu jak umiałem najserdeczniej i wybiegłem. Niosło mię, naturalnie, na skrzydłach.

W domu zastałem wszystkich zgromadzonych w stołowym pokoju; w chwili, gdy wszedłem, Franciszkowa poważnie wniosła ka-

wę na tacy. Pot kroplami spływał mi z czoła, oddychałem ciężko. Stół nakryty białym obrusem, przy stole matka i jeszcze różowe snem dziewczątka. Byłem tak zmęczony, że, podając mojej Beatrycy bukiet, ledwie zdołałem wypowiedzieć:

— Dzień dobry.

Panna Manusia zarumieniła się okropnie, ale spotkało mnie ogólne uznanie, wyrażone przeciągłem:

— A-a-a!

Mama nawet powiedziała:

— Ładnie się Muś spisał, po rycersku. Mój syn! No, a teraz odpocznij i napij się kawy.

Oleńka skakała zachwycona wokoło bukietu, nawet surowa Marynka zrobiła minkę pobłażliwego uznania.

Było mi dobrze.

— A wiesz — zawołała Oleńka — mama była w rozpacz, bo Franciszka powiedziała, żeś ty się zerwał o świcie i mówiłeś jej, że idziesz zrobić w mieście niespodziankę, wszyscy myśleli, że to pewnie jakaś kocia muzyka dla profesora, albo coś takiego!... A skąd wzięłeś tyle fijołków, taki cudny bukiet?

— Nazbierałem w lasku.

— O, nazbierał w lasku fijołki na drutach!

Ale tu obroniła mię matka:

— Daj mu spokój, to jego rzecz.

Dobrzy bogowie sprawili, że w ciągu dnia tego mogłem jeszcze z Beatrycą mówić bez świadków „całe długie pół godziny”.

Tym razem to nie było w ogrodzie, ale stał się ten oczekiwany cud w smutnej chwili powrotu Manusi do domu. Pod wieczór przyszła po nią jej mama, moja matka i ja odprowadzaliśmy je, siostry zostały w domu, bo wieczór był bardzo chłodny, a Oleńka kaszłała. Mamy szły za nami, dzieci naprzód. Ledwieśmy odeszli od mamy parę kroków, Manusia zaczęła:

— Wie pan, będę teraz chodziła do pensjonatu, zawsze rano przed ósmą, od nas bardzo blisko, tak że będę szła sama...

Tu spojrziała na mnie, a ja — nic, naprawdę jak tabaka w rogu! Beatryce po chwili znowu mówiła:

— Bo moja mama jest z przekonania trochę Amerykanką, mówi, że młoda dziewczyna powinna uczyć się samodzielności, i jest przeciwna dawaniu na dwa kroki drogi straży przybocznej.

Mówiąc to, pochyliła główkę, potem znowu, ale już bardzo pytająco, spojrziała na mnie... A ja, choć w łeb strzel, nic!

Widocznie zaambarasowana, cedziła potem słówko po słówku:

— Będę sobie przechodziła naszą ulicą, potem przez skwer miejski... tam tak miło... już się zielenić zaczyna... a za tydzień... za dwa... cudnie będzie... zawsze... rano...

A ja jeszcze nic! Tak to czternaście lat małej kobiecie więcej dają rozumu życiowego, niż nam nieraz o wiele większa ilość wiosen!

W końcu Manusia zapytała już trochę poirytowanym głosem:

— A panu którejdy przypada droga rano do szkoły, czy przypadkiem nie też tamtędy? Nareszcie pojąłem:

— Ależ naturalnie... wszystko jedno którejdy... Zawsze tamtędy! — zawołałem.

Zaczęły się czasy szczęścia, a szczęście polegało na tem, że ja z ogromnym nakładem drogi co rano odprowadzałem Beatrycę do

pensjonatu. Ku zdziwieniu Franciszkowej naszej i mojej matki przed siódmą już zrywałem się z łóżka i z całą pliką książek pod pachą, rezygnując ze śniadania, a nawet z dziesięciu centów, które dawała mi matka na drugie śniadanie, pędziłem do szkoły!

I codziennie spotykałem tchnącą porankiem, jak bez majowy, Beatrycę moją!

Mówiliśmy do siebie bardzo mało, a jeśli które z nas wogóle coś przemówiło, to raczej ona, ja prawie nigdy nie mogłem słowa wypowiedzieć ze szczęścia.

Ale za to pisałem... pisałem... pisałem...

W szkole było bardzo źle.

W końcu miłość nasza w zielonej alejce skweru miejskiego, miłość prawdziwie porankowa, poczęła się rwać.

Ku memu wielkiemu zmartwieniu spozstrzegłem, że moja ukochana jest jakoś dziwnie roztargniona, że wychodzi z domu, nie jak dawniej, dość wcześnie, żeby móżdż spędzić parę chwil ze mną, ale w sam czas, to jest zaledwie tak, by się nie spóźnić na lekcje.

Przebiegała w pośpiechu naszą alejkę, gdzie stęskniony czekałem, tak szybko, że ledwie wydążyć mogłem; ja wciskałem jej milcząc nowy jakiś wierszyk w rączkę i smutno odchodziłem. Ale raz, a było to, pamiętam, w dzień jakiś dżdżysty, szedłem śmiertelnie smętny pod parasolem do szkoły, chowając na sercu poemat, który jej miałem ofiarować. Była to tragiczna skarga na zmienność mojej ukochanej, a każda strofka tego poematu kończyła się strasznym refrenem:

„Ja się zabiję — ja się zabiję!”

Beatryce dnia tego przyszła później, niż zwykle, mimo to nie śpieszyła się wcale, szła wolno, noga za nogą i szukała mię oczyma. Przystąpiłem do niej.

— Czy wie — zapytała mię, jak zwykle, przez trzecią osobę — czy wie, że będzie miał dzisiaj miłą niespodziankę? Bo ja na pierwszą godzinę do szkoły nie pójde dzisiaj... nie nauczyłam się historii. I niech on też na pierwszą godzinę nie idzie. Dobrze?

Serce mi bić poczęło gwałtownie.

— Dobrze — bąknąłem.

— Doskonale się składa, bo miałam z nim pogadać...

— I ja też mam wiele do powiedzenia — odparłem, sięgnąwszy w zanadrze po mój poemat.

Moja Beatryce znała dobrze ten mój gest i zrobiła minkę znudzoną.

— Ma wiele do powiedzenia? A dlaczego przez tyle dni nigdy nic nie mówił ciekawego? Dlaczego?

— Bo jakoś... już nie mogę... taka obojętność dla mnie...

— No, bo ciągle to samo i to samo... On robi tylko wiersze... nie można tak zawsze przecież...

— Proszę jeszcze przyjąć ten ostatni — rzekłem niemal płaczącym głosem i podałem jej cały arkusz zagryzmolony.

Beatryce dosyć leniwie podała mi sukienką torebkę.

— Niech tam włoży...

Drżącemi rękoma wzięłem podaną torebkę, rozciągnąłem jedwabny sznurek i... o zgrozo! Oto ujrzałem w torebce bułkę z masłem,



którą Beatryce, jak zwykle, ze sobą wzięła do szkoły, owiniętą dokładnie w mój przedostatni poemat...

Nie miałem siły słowa wyrzeknąć... Milcząc, złożyłem jeszcze jedną ofiarę na ołtarzu niewieściej płytkości i, milcząc, oddałem jej woreczek.

— I znowu nic nie mówi? Przecież powinien coś postanowić... coś...

Wzruszyła ramionami.

— Cóż ja mam postanawiać? — zapytałem smutno.

— No niech pomyśli, ale prędko, bo szkoda czasu, co mamy zrobić z tą pierwszą, nareszcie wolną godziną?

Tu spojrziała na mnie pytająco, a w kącikach jej ust drgał silnie wstrzymywany śmiech.

— Pójdźmy... pójdźmy do Ogrójkowej kaplicy, obok katedry... Tam nikoguteńko nie ma... Będziemy sami... — rzekłem.

— Do kaplicy? A niech będzie do kaplicy! Przyspieszyliśmy kroku. Katedra była tuż obok.

Weszliśmy. Słyszałem głośnie bicie własnego serca. Wnętrze jej było ciemne, przez witraże nieśmiało sączyło się zgasłymi kolorami zabarwione światło, usiedliśmy, milcząc, w małej ławeczce i tak parę minut, nic nie mówiąc, przesiadeliśmy. Czułem, w miarę jak czas upływał, że powinienem „coś” zrobić... dać jakąś inicjatywę do czegoś... W ogóle rodzaj przecucia, instykt mówił mi, że powinienem być mężczyzną, chociaż rozum nie zdawał sobie z tego sprawy, i nie wiedziałem, czego chcę.

Chwile mijaly... Beatryce cicho, po kościelnemu westchnęła, potem spojrziała na mnie pytająco.

Bezwiednie wyciągnąłem pod ławką rękę, chcąc ująć jej dłoń.

Usunęła ją szybko, szepnąwszy niecierpliwie:

— Baba się patrzy!

— Jaka baba? — zapytałem.

— Jeżeli nie widzi, to niech się lepiej popatrzy. Tam w kącie, obok ołtarza, siedzi skulona żebraczka

Nareszcie porwała mię pasya.

— Gdybym mógł, tobym ją siłą woli zabił! — rzekłem już półgłosem niemal.

— Nie trzeba jej siłą woli zabijać, tylko niech jej da centa, to ona sobie pójdzie — poradziła mi spokojnie Beatryce.

Nastało przykre i długie milczenie, ale ja już zrozumiałem, że muszę być prawdziwym mężczyzną. Więc rzekłem:

— W pośpiechu nie wzięłem dzisiaj od mamy drobnych. Ale proszę mi pożyczyć centa, a ja pod słowem honoru jutro oddam...

Chwila milczenia...

— Ja miałam centa — odparła — ale kupiłam sobie pióro...

Milczenie znowu...

Beatryce schyliła głowę na ławkę i twarzyczkę schowała w ręce. Po chwili usłyszałem cichy, potem coraz głośniejszy śmiech jej. Śmiała się długo, długo, a ja siedziałem czerwony, jak burak, i znów milczałem.

W końcu złość mię porwała, nawet na mój ideał:

— Dlaczego się pani śmieje? — zapytałem.

Długo nie mogła przemówić, w końcu wykrztusiła:

— Prawdziwa miłość poety... Bez jednego centa na dwoje...

Porwałem książki i wybiegłem...

Gonił za mną śmiech...

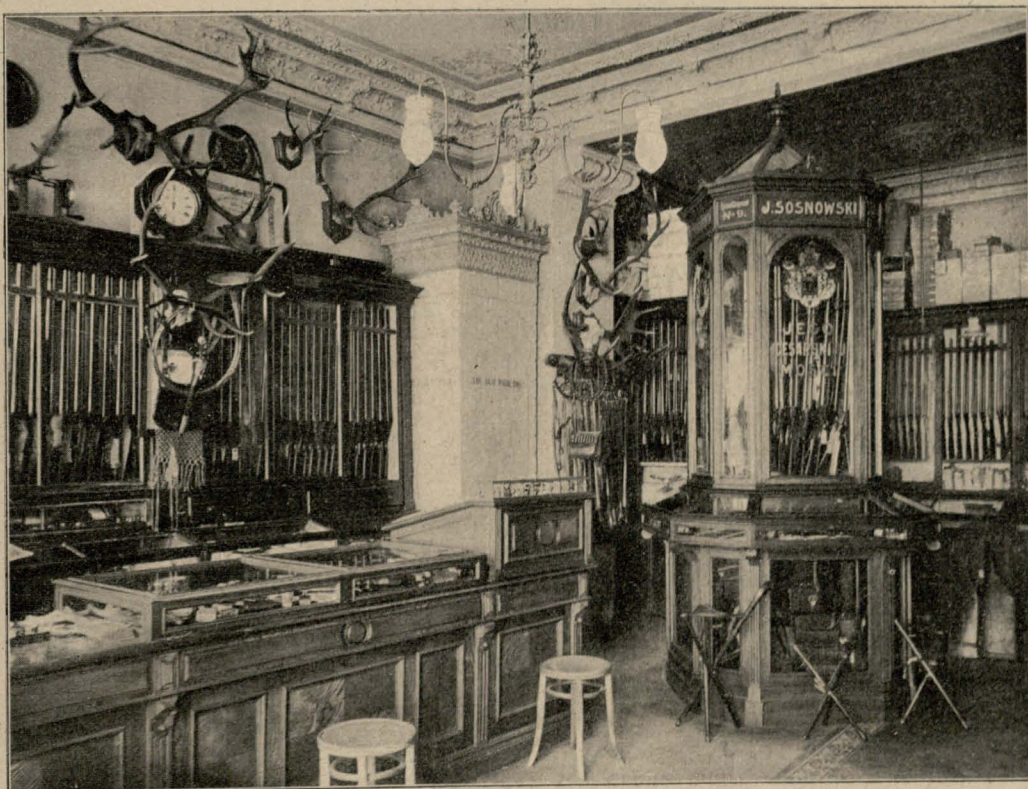
KONIEC.



# FABRYKA BRONI I PRZYBORÓW MYŚLIWSKICH

pod firmą J. SOSNOWSKI

Warszawa, Trębacka 9  
Telefon 47-47



Wnętrze składu broni  
pod firmą J. Sosnowski

Warszawa, Trębacka 9,  
Telefon 47-47.

W miarę wzmaganą się w kraju naszym gospodarstw leśnych, a zarazem racjonalnie prowadzonych stowarzyszeń i kółek łowieckich, skończyły się „piękne dni Aranjezu” dla ogółu myśliwych niepowołanych, t. j. nie mających nic wspólnego z pięknym sportem myśliwskim.

Typ myśliwego, uzbrojonego w domorosłą „sagalasówkę”, znika jednocześnie ze zmianą warunków łowów u nas, gdzie kultura na polu ochrony zwierzyny, jak zresztą we wszystkich innych krajach cywilizowanych, przybiera coraz szersze rozmiary.

Wraz z tym objawem, wielce po-myślnym dla łowiectwa i pożądanym, kończy się fabrykacja „domowa” broni palnej. Uzdolnienie fachowe składnika broni bierze górę nad przygodnym procederzystą. Innymi słowy, składnik broni, jeżeli pragnie odpowiadać duchowi czasu, musi być bezwzględnie wytrawnym rzeczoznawcą i wykwalifikowanym specjalistą. Otóż obecny właściciel ogólnie znanej warszawskiej firmy puszkarskiej „J. Sosnowski”, p. C. Lissowski, należy do wybitnych na tem polu specjalistów.

Po wyjściu ze szkół p. Lissowski wstąpił na praktykę do słynnego w owych czasach mistrza kunsztu puszkarskiego, Jakóba Sosnowskiego, utrzymującego zakład w dawnym, a dziś już nie istniejącym pałacu Tar-

nowskich na Krakowskim-Przedmieściu. W latach następnych p. L. pracuje kolejno w rozmaitych zakładach mechanicznych, po udoskonaleniu się praktycznym zajmuje stanowiska w pierwszorzędnym składach broni, w końcu, bogaty w wiedzę specjalną i doświadczenie, żywy bierze udział w życiu sportowym, z zamiłowaniem oddaje się myśliwstwu, strzelaniu do gołębi i t. p. Praca na polu puszkarstwa nie odrywa go od spraw sportu. Uzupełnia więc swoją działalność zakładaniem kółek myśliwskich, prowadzeniem polowań, oraz wogóle oddawaniem usług, mających na celu rozwój myśliw-

stwa. Niemniej zajmuje go nader ważna kwestya patromów. Wystudował tę rzecz dokładnie, a fakt używania jego naboju przez najlepszych myśliwych na standzie i na łowach stanowi dla niego najlepszą reklamę.

Niemniej ważną, a bodaj czy nie najważniejszą kwestyą łowiecką jest odpowiedni rodzaj broni. Któż z nas nie wie, że dobry strzał jest w bardzo wysokim stopniu zależny od jej przykładowości. Jest to wogóle rzeczą trudną i wymaga wielkiego doświadczenia, gdyż bardzo wielu myśliwych, nie mając broni odpowiednio przykładowej, nie jest w stanie określić, czy ich broń ma osadę zbyt wygiętą, lub zanadto prostą, za długą, czy za krótką.

Tylko wytrawny puszkarz-myśliwy może rozstrzygać w tych kwestiach. Procederzysta, nie wtajemniczony w tajniki puszkarstwa, a odgrywający tylko rolę pośrednika pomiędzy fabrykantem a odbiorcą, nigdy nie dojdzie do odpowiednich rezultatów. Wszystkie powyższe wymienione względy przekonują nas, iż właściciel firmy „J. Sosnowski”, p. C. Lissowski, jako wytrawny puszkarz-specjalista, zawołany sportsmen i zarazem gruntowny znawca techniki łowieckiej, łączy w sobie wszystkie warunki, pożądane przez ogół myśliwych, zaopatrujących się w broń, oraz przybory myśliwskie.



Front składu broni.

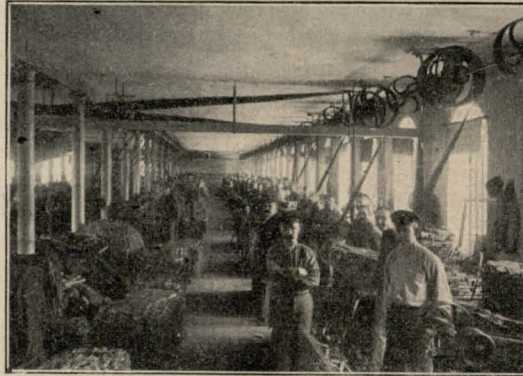
## TOWARZYSTWO AKCYJNE MANUFAKTURY KORKOWEJ

SKŁAD FABRYCZNY W WARSZAWIE  
UL. NOWO-SENATORSKA 9, Tel. 11.28

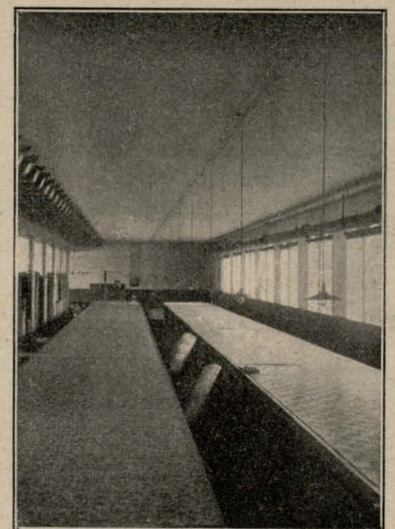
WICANDER I LARSON W LIBAWIE



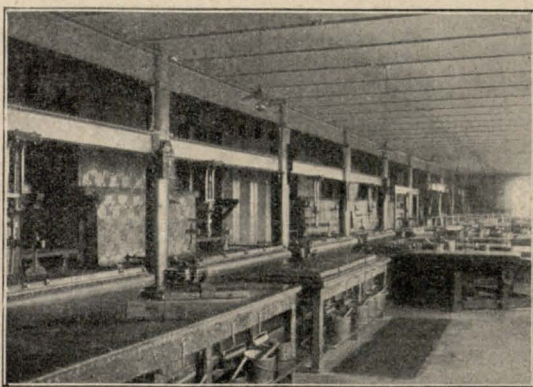
Maszyny do stemplowania korków.



Sala cięcia i krajanie drzewa korkowego.



Sala krajania linoleum.



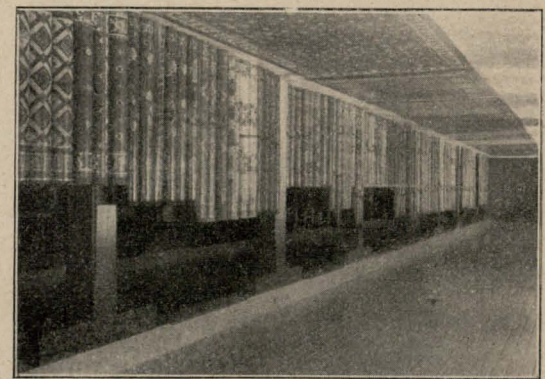
Drukarnia linoleum.

W artykule poprzednim (patrz Nr 33 wystawowy *Tygodnika Ilustrowanego*) zaznajomiliśmy sz. czytelników ze szczegółami rozwoju produkcji wyrobów z drzewa korkowego firmy Wicander i Larson.

Do takich należą: korki do butelek, linoleum, dla komfortu i higieny posiadające znaczenie pierwszorzędne, oraz *linkrusta*, która stanowi uader estetyczne i trwałe obicie na ściany mieszkań, sal w zakładach restauracyjnych, biurowych i t. p.

Wspominaliśmy też o metalowych kapslach fabryki libawskiej, do butelek.

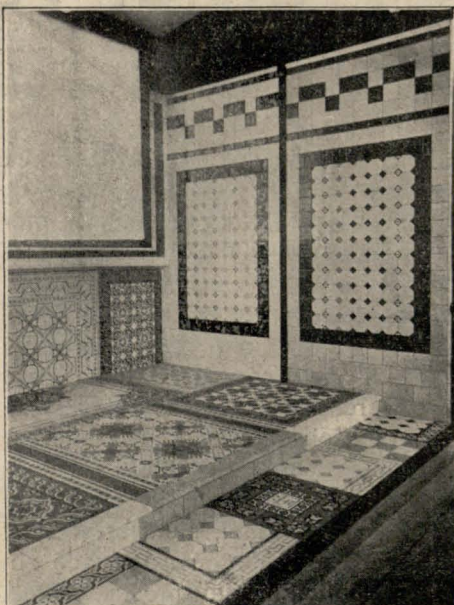
Obecnie, w uzupełnieniu poprzedniego opisu, dajemy obok widoki niektórych oddziałów tychże zakładów. Zdjęcia z natury, po porównaniu z obszernym opisem w N-rze 33, dadzą publiczności pełniejsze pojęcie środków, jakimi firma Wicander i Larson rozporządza w celu utrzymania przemysłu korkowego w stanie rozkwitu i nieustannych dążeń do doskonałości.



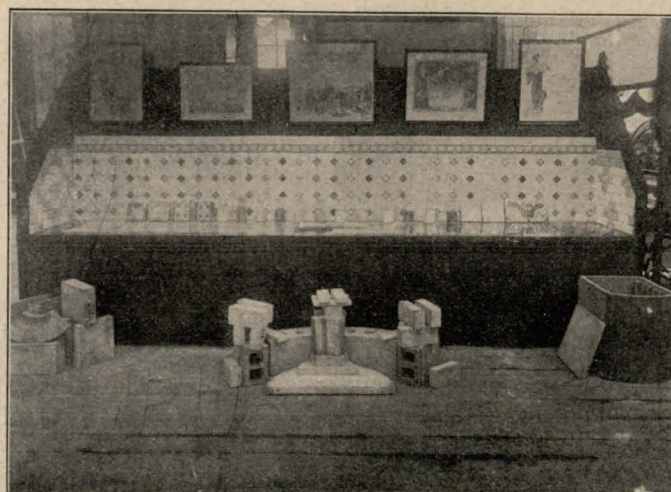
Skład dywanów z linoleum.

## NASZ PRZEMYSŁ CERAMICZNY

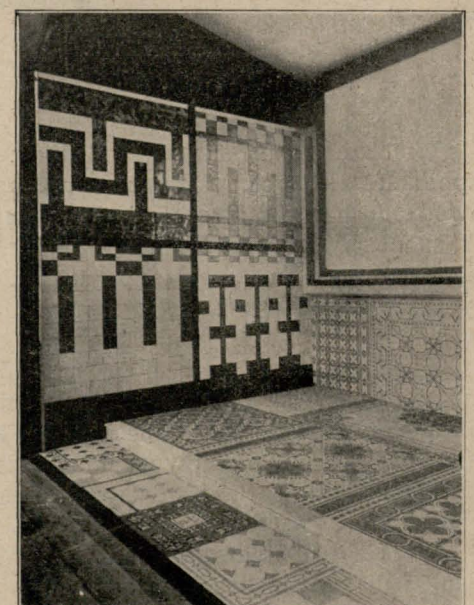
Fabryki Tow. Akc. Dziewulski i Lange.



Część kabiny wystawowej



Gablota na wystawie w Częstochowie w pawilonie głównym.



Inny widok kabiny wystawowej.

Powstanie fabryki ceramicznej, założonej pod firmą powyższą w Opocznie, sięga 1895 roku. Spółka, złożona z pp. Dziewulskiego i braci Lange, natrafiwszy w okolicy na glinę w dobrym gatunku, postanowiła wyzyskać to naturalne bogactwo kraju. Oparwszy przeto od samego początku działalność swoją na gruncie naukowym, w krótkim czasie osiągnęła rezultaty imponujące.

W r. 1898 zakłady opoczyńskie zamieniły się na towarzystwo akcyjne. Kapitał pierwotny, wynoszący 400,000 rubli został poważnie powiększony do 800,000 rub. Z kapitałem tym przemysłowcy nasi otworzyli drugą podobną fabrykę w Sławińsku gub. charkowskiej, gdzie odkryli pokłady najróżnorodniejszych glin, wybornych do fabrykacji. Płytki wyrobu Tow. akc. osiągnęły wysoka

doskonałość; dziś nie obawiają się żadnej konkurencji i odniosły nad zagranicznymi stanowcze zwycięstwo, głównie z racji przystosowania swoich płyt do surowych warunków naszego klimatu. Nasza firma wyrabia płytki swoje na spodzie ogniotrwałym, który nie przyjmuje wilgoci, nie boi się mrozów i posiada trwałość, zagwarantowaną przez fabrykę.

Obok trwałości, płytki tychże zakładów odznaczają się estetyczną pięknnością, harmonią dobranych kolorów, smakiem w kompozycji, oraz świeżością dekoracyjną.

Poza względami estetyki, płytki firmy „Dziewulski i Lange” zalecają się ważnym znaczeniem dla higieny ścian i podłóg, z tych materiałów wyrabianych. Stanowią one przedewszystkiem war-

stwę izolacyjną, dzięki czemu sprzyjają utrzymaniu się jednostajniejszej i mniej niżonej temperatury. Przytem proste zmycie wodą lub przetarcie szklką zwilżoną gąbką doprowadza je do czystości i stałej świeżości. Całe urządzenie sal kąpielowych, odchodowych, operacyjnych i t. p. obecnie obowiązkowo musi być wykonywane z płytek opoczyńskich lub sławińskich.

Załączone zdjęcia fotograficzne przedstawiają witrynę i gablotę z okazami, za które na wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie firma została nagrodzona. Zarząd Tow. akc. mieści się przy ul. Mazowieckiej nr. 4, gdzie również ogół zainteresowany znajdzie stałą wystawę naszych wyrobów, zawsze otwartą dla łaskawych gości.

# Specjalna Fabryka Dzwonów A. Zwoliński i S. Czerniewicz

w Pustelniku pod Warszawą, st. kol. Mareckiej.



Firma A. Zwolińskiego, istnieje od roku 1868, obecnie jest prowadzona pod kierunkiem obu właścicieli, z których część techniczną ma pan A. Zwoliński. Już raz nagrodzona medalem srebrnym na wystawie przemysłowej w Warszawie, obecnie na wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie otrzymała medal złoty. Wysokie to odznaczenie zostało jej udzielone za harmonijne dostrojenie dzwonów przez nas wprowadzone, a nigdzie w kraju nie praktykowane, za czystość dźwięków i piękne ornamentacje przy starannym wykończeniu, za ulep-

zenie okucia nowego systemu, zapobiegające wstrząśnieniom wieży i rozbi-  
ciu dzwonów.

Prócz tego, system naszego okucia ma tę zaletę, że co pewien czas dzwon można przekręcić, i tym sposobem serce uderza za każdym przesunięciem w inną część ścianki, dzięki czemu dzwon staje się wprost nie do rozbicia.

Dawniej, a nawet dzisiaj przeważa stary system okucia, przy którym dla wprowadzenia w ruch niewielkiego dzwonu potrzeba kilku ludzi, i tylko dzięki wielkiej trwałości murów te skutecznie opierają się wstrząśnieniom. Przy okuciu zaś naszego systemu, jeden chłopiec z łatwością może poruszać dzwonem olbrzymem dosięgającym 10,000 funtów. Wszystkie dzwony największe, znajdujące się w kraju, były wykonane w naszej fabryce, jak np. u św. Augustyna przy ulicy Dzielnej.

Fabryka nasza posiada liczne świadectwa i podziękowania za sumienne wykonanie zamówień na dzwony.

Nasze kantory filialne: w **Warszawie**, dom handlowy A. Sierpińskiego Aleja Jerozolimska 78, w **Dąbrowie Górniczej** L. Bobbé, w **Częstochowie** Rydzewski, skrzynka Nr 50.

**Ceny** możliwie niskie, gwarancja wieloletnia.

## NADESŁANE.



### STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>

FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY  
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



## MEBLE

### ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



### MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK“

**BERGMANN i S<sup>KA</sup> RADEBEUL-DREZNO**

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd,  
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz  
delikatną, osłepiająco piękną cerę.  
Po 50 kop. dostać można wszędzie.  
Główny skład na Państwo Rossyjskie:  
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, dom Sinnera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.




Dostać można wszędzie.

## KALODONT

NIEZBĘDNY  
KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.



Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,  
**G. G. LARDELLI** Czekoladę **Mleczną-Unique, Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.  
Boduena 5, Nowy-Świat 27.

**GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY**  
**D-ra ROBERTA BERNHARDTA**  
ordynatora szpitala św. Łazarza.  
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.  
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentina, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonwalizacja. Choroby weneryczne.

**MAGAZYN KRAWIECKI**  
**SZWAŁBE SACH i S<sup>KA</sup>**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

**Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja**  
**Ch. GEBER w Grochowie**

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.



NAGRODZONA MEDALEM SREBRNYM na wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie, 1909.

**FABRYKA PIANIN A. OWCZARSKIEGO** MAZOWIECKA 11  
TELEFON 110-38

Poleca pianina nowe własnego wyrobu, jak również używane innych firm, oraz przyjmuje reparacje takowych i t. p.

## J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI

Krakowskie-Przedmieście Nr 1b  
dom własny

# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

**L. Lipiński** { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. }  
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

**M. K.** Myć włosy Balsamem D-ra Hoyer'a, z początku co 5 dni, potem co 10, po umyciu, gdy wyschną, nakrapiać aż do skóry płynem Captoline, ale francuskim oryginalnym Dufoura, powtarzając to zwilżanie codziennie, podczas czesania. Grzebień mieć swój własny, często myty, z dolaniem do wody kilkunastu kropel Captoline.

**Carmen.** Na uformowanie paznogi są specjalne maszyny w rodzaju narparkta. Płyn Onglophile wzmocni i zmiękczy, a pasta doda pięknej, różowej barwy i połysku przy pomocy Polissoiru.

**Małej Ance z Galicyi.** Sam płyn Abarid nie ma żadnego wpływu, używać go należy przy rannem myciu, dolewając do wody, głównym środkiem, radykalnie usuwającym zmarszczki, jest krem Abarid i nieodzowny puder Abarid. Niech pani zażąda drukowanego przepisu, gdyż niepodobna w krótkiej wzmiance podać wyczerpującego objaśnienia. Krem D-ra Orgley usunie piegi i opaleniznę, nie używać razem z Abaridem, pozbyć się przedtem opalenizny, a potem systematycznie, według przepisu stosować Abarid. Myć się mydłem Neutralnem, przetłuszczone trzeba zarzucić. Na zmęczenie zbyt szczupłych ramion pomódz może jedynie gimnastyka tychże ramion, stosowana codziennie rano, z początku 2 minuty aż do 10-ciu z od-poczynkami.

**Aidzie.** Łamiące się włosy, jeśli nie zmarnowane wodą utlenioną, można radykalnie wyleczyć olejkami radyoaktywnym Hel, specyfik ten usuwa również rozszczępanie włosów. Wągrzy i czarne punkciki w okolicach nosa wyniszczą Pureol. Nawet odmrożony nos wybieli Nezaline. Brwi przyciemni trwale, o ile są włosy, płyn Excelsior, do rzes się nie nadaje. Mydło Neutralne zdobyło sobie zasłużone wzięcie swemi higienicznymi zaletami.

**Do wszystkich.** Listy z zapytaniami należy znać na kopercie: dla p. Mercédès. Na kombinowane zapytania odpowiadamy bezinteresownie, listownie, o ile podany będzie adres. Wszystkie zalecane przez nas środki dostarczać pocztą obowiązały się: Perfumerye: „Perfection” Szpitalna 10 i Paszkowski Marszałkowska 109.

Mercédès.

**LUDWIK SZUFA**  
**KRAWIEC**

KRAKÓW TELEFON 671

KARPINSKIEGO  
**KREM OGÓRKOWY MATOWY**  
Cena 60 kop.  
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne  
Fr. Karpińskiego  
w Warszawie Elekoralna 35. Telefon 600  
Żądać wszędzie.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

**E. UNIERZYSKI**

CHMIELNA Nr 3.

polecą Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

**KALKOMANIE** naśladowujące słoje i kolory wszelkiego drzewa i marmuru (Metr 30 k.) oraz **WITRAŻE** (Glaciers) do okien (Metr od 35 k.). — Rezultaty zadziwiające. — Oszczędność wielka. Prospektusy, próby bezpłatne. Magazyn Francuski (Berga 8).

### Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)  
„ „ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)  
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

## PODREĆCZNIKI SZKOLNE

POLECAJĄ KSIĘGARNIE

**GEBETHNERA i WOLFFA**

W WARSZAWIE, Nowo-Sienna 9 i Krakowskie-Przedmieście 15,  
W LUBLINIE, Krakowskie Przedmieście 36.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
**Władysławy Kwiatkowskiej**

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

HURTOWY I DETALICZNY  
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

**LEONA MESSINGA**

MIODOWA № 7

polecą modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

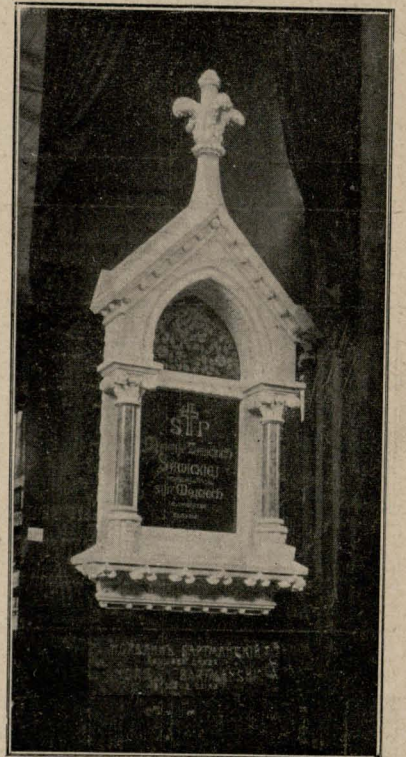
Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

**J. NORBLIN, S. BARTMAŃSKI**  
WARSZAWA,

Mechaniczne zakłady Kamieniarskie, Tartaki, Heblarnie, Tokarnie i Polerownie.

Adr. tel.: Norblin, Dz'ka 71. Telefon 545.

Medal złoty, międzynarod. wystawa Paryż, 1906.  
Medal złoty, międzynarod. wystawa Londyn, 1906.  
List pochwalny, Warszawa, 1896.



Firma ta wystawiła w Częstochowie pomnik ściennej, dający całokształt jej działalności na polu kamieniarsstwa mechanicznego i rzeźby architektonicznej.

JURY nagrodiło firmę J. Norblin, S. Bartmański **MEDALEM ZŁOTYM** za urządzenie w kraju maszyny do obróbki twardych materiałów, co wpłynęło decydująco na rozwój naszego przemysłu kamieniarskiego.

**GEBETHNER**  
i **WOLFF**

PIANINA I FORTEPIANY  
W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



**GABINET**  
**ŚWIATŁOLECZNICZY**

D-ra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

**PATENTY**

NA

WYNAŁAZKI

Włodarkiewicz

i Sieklucki

Włodzimierska 16,

Egz. od 1886 r.